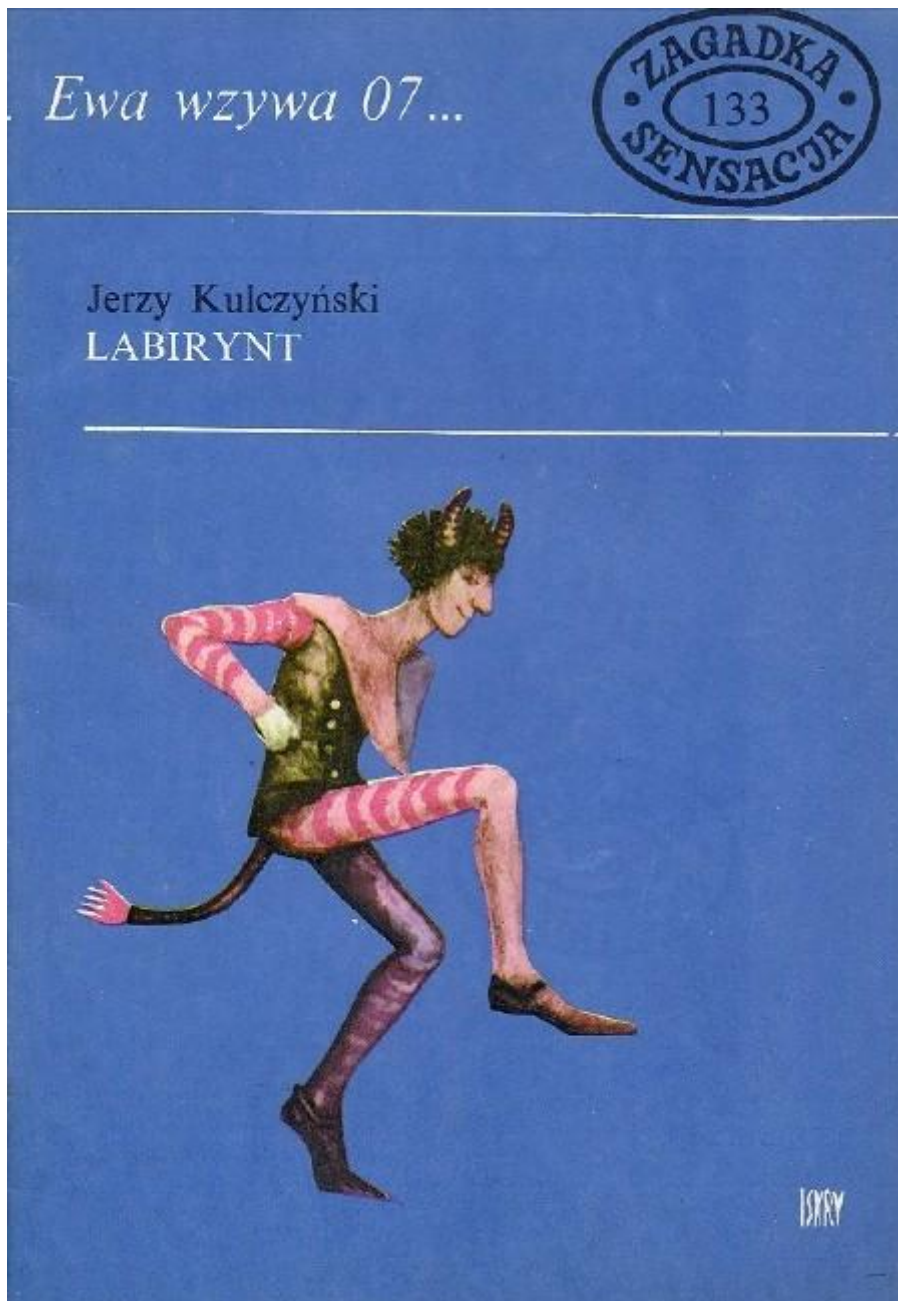


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Jerzy Kulczyński

Labirynt



I

Jeszcze przed chwilą wewnątrz jaskini rozbrzmiewało echem człapiących po błotnistym dnie kroków. Jeszcze po ścianach wąskiego, skalnego korytarza błędził coraz bardziej oddalający się krążek latarki, to znikając za załamaniem korytarza, to znowu się pojawiając. Wreszcie odgłos kroków ucichł, a światło latarki znikło. Wnętrze jaskini ogarnęły wszechwładnie cisza i nieprzeniknione ciemności.

Ta cisza, zakłócana jedynie monotonnym szmerem ściekającej po ścianach wody i melodyjnym dźwiękiem spadających gdzieś aż spod stropu kropel, potęgowała jeszcze przytłaczające uczucie osamotnienia. We wnętrzu jaskini było wilgotno. Temperatura oscylowała w pobliżu zera.

Nie denerwowała się wcale. Wiedziała, że za chwilę pojawi się znowu refleks światła i w perspektywie korytarza, przy akompaniamencie człapiących kroków, zamajaczy ludzka sylwetka.

Mijały jednak minuta za minutą, a nic nadal nie mąciło panującej we wnętrzu jaskini ciszy. Żaden odgłos nie wskazywał na to, że ten, na którego oczekiwała, powraca.

II

Szedł szybko, równym, rytmicznym krokiem. Byle tylko prędzej wyskoczyć na grani. Nie wolno mu zbyt długo się spóźnić, gdyż wtedy cały jego plan okaże się niewart funta kłaków. Spotkanie, na które zdążył, miało dla niego bardzo duże znaczenie.

Przyspieszył jeszcze kroku... Aby tylko wydostać się w górne piętro doliny i wejść na pnącą się po stromym zboczu ścieżkę! Pod górę szło mu się jakoś lepiej i szybciej. A może tak mu się po prostu wydawało? Wreszcie próg skalny, oddzielający dolne piętro doliny od górnego. Niemal nań wbiegł, skacząc ze skalnego stopnia na stopień.

Nie upłynęło więcej niż kilkanaście minut, a już wspinał się serpentynami ścieżki, wijącej się stromym, skalnym zboczem w kierunku grani. Kiedy wreszcie tam stanął, był spocony i lekko zadyszany. Nic dziwnego, od dwóch przeszło godzin nie zwalniał nawet na chwilę forsownego tempa marszu. Teraz jednak mógł już sobie pozwolić na chwilę wytchnienia. Był całkowicie pewny, że uda mu się zmieścić w wyznaczonym czasie.

Stał na grani i rozwartymi szeroko ustami łowił powietrze tak długo, aż wyrównał się rytm serca, a oddech stał się normalny. Zerknął na zegarek. Dwunasta dwadzieścia.

— Dobre tempo — mruknął pod nosem z zadowoleniem. — W dwie i pół godziny taki szmat drogi i to przy dużej różnicy wzniesień! Co to jednak znaczy kondycja i rutyna...

Ruszył w dalszą drogę i znowu z miejsca narzucił sobie ostre tempo, Żeby nie wiem co, musi być w schronisku najpóźniej o czternastej. Szedł jak maszyna, z każdym krokiem jeszcze przyspieszając. Na grani szło mu się lekko, prawie jak po równinie. Różnice wysokości były tu nieznaczne, co pozwalało utrzymywać równy rytm kroku. Toteż nie minęło nawet i pół godziny, kiedy miał już poza sobą grań. Docierał do szerokiego siodła przełęczy. Stał na chwilę i popatrzył w dół. U jego stóp rozpościerała się rozległa dolina, a w jej dalekiej perspektywie widniało schronisko, cel jego wędrówki. Była dwunasta pięćdziesiąt.

— No, jeszcze pół godziny i będę na miejscu — skostatował z zadowoleniem.

Poprawił na ramieniu szelki małego plecaczka i ruszył wijącą się po zboczu ścieżką w dół. Teraz już nie schodził, a po prostu zbiegał, przeskakując z kamienia na kamień i uważając tylko, aby się tylko przypadkiem nie potknąć. O trzynastej dwadzieścia pięć był przed schroniskiem.

III

Było jej zimno, przeraźliwie zimno w tym lekkim stroju, w jakim się na tę wycieczkę wybrała. Nie była zupełnie przygotowana — ani technicznie, ani psychicznie — na takie eskapady. Niepokój narastał. Buzdź się zaczęły różne wątpliwości, a przez głowę przelatywały coraz bardziej trwożąc myśli,

Bo właściwie, tak logicznie rzecz biorąc (teraz dopiero zwróciła na to uwagę) zaskakujące było to spotkanie z nim właśnie w Dolinie Kościeliskiej. Skąd on się tam wziął? Wyraźnie przecież wracał w stronę przystanku, poza tym skąd u niego ten przyływ serdeczności i ta chęć zrobienia jej przyjemności? Była jego zachowaniem tak zaskoczona, że propozycję wspólnego zwiedzenia jaskini przyjęła bez słowa protestu. Zresztą miała wiele czasu. Nie zastanawiała się więc wcale, zwłaszcza że — jak sądziła — nie miała żadnych podstaw, aby mu nie ufać...

Więc to chyba niemożliwe, żeby on celowo... Zresztą po co? Nie, na pewno grzebie się tam jeszcze i szuka tego portfela. Tylko patrzeć, jak wróci tu do niej i wszystko będzie w porządku.

Popatrzyła na zegarek. Z zielonkawo fosforyzującej tarczy odczytała, że dochodzi pierwsza po południu. Była zaskoczona. A więc od momentu wejścia do jaskini minęły przeszło trzy godziny? Więc dlaczego go nic ma? Złe go porwało? Trzy godziny to wystarczy, by przeszukać cały len kawałek jaskini i wrócić. Przeszukać i znaleźć... jeśli było czego szukać. A jeżeli on tu już naprawdę nic wróci?! Tylko, na miły Bóg, w jakim celu to zrobił?

Nie była w stanie tego zrozumieć. Nie potrafiła znaleźć żadnej przyczyny, Ale może istniała taka. dla niego oczywista, a tylko dla niej niezrozumiała?... Musiała istnieć, bo przecież zdrowy, normalny człowiek nie skazuje ot, tak sobie drugiego człowieka na powolną Śmierć, wiedząc, że tam, gdzie ją zaprowadził i zostawił, nikt jej na pewno szukać nie będzie. Nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, że ona może być tu.

Zaczęły ogarniać ją znużenie i apatia.

Był piękny, słoneczny, sierpniowy dzień. Schronisko na Hali Ornak tętniło życiem. To przecież pełnia letniego sezonu, pogoda wspaniała, więc nic dziwnego, że turyści dopisali. Tak we wnętrzu schroniska, jak na obszernej polanie przed nim kłębiły się tłumy. Personel uwijał się jak w ukropie. a kierownik Lipiński zacierał z zadowoleniem ręce. bo utarg tego dnia zapowiadał się doskonały.

Było dobrze po południu, kiedy do schroniska zbliżył się szybkim krokiem młody, najwyżej trzydziestoletni mężczyzna o typowo góralskiej, nieco orlej w wyrazie twarzy, ubrany w czerwony, goprowski sweater z dużą blachą przewodnicką na piersiach i niebieskie pumpki. Szedł elastycznym krokiem ludzi gór z fantazyjnie zwisającym z ramienia plecaczkiem. Na widok Lipińskiego zawołał wesoło.

Witajcie. gazdo! Jak interesy!

— Nie narzekam odpowiedział pogodnie Lipiński. — Żeby tylko każdego dnia tak było!

— No. no, bez przesady — roześmiał się przybyły, — Rozpuścilibyście się za bardzo i nie wiedzieli, co z pieniędzmi zrobić!

— Spokojna głowa! — zareplikował ze śmiechem Lipiński. — Urząd podatkowy czuwa. A swoją drogą nie miałbym nic przeciw takim kłopotom. Skąd to bogi prowadzą? — dodał ciekawie.

Zapytany uśmiechnął się szeroko, ukazując dwa rzędy równych, chociaż niezbyt białych zębów.

— Miałem taką małą fuchę na Świnice — powiedział. — Obrobiłem się do dziesiątej, a ponieważ byłem tu umówiony, więc granią przebiegłem od Kasprowego. Miałem być o pierwszej, ale i tak niewiele się spóźniłem, dochodzi dopiero wpół do drugiej. Na pewno już czeka.

— Znowu jakaś babka? rzucił domyślnie Lipiński, mrugając do swego rozmówcy znacząco. — Podrywacz z pana. panie Janku.

Przybyły wzruszył ramionami przybierając niewinny wyraz twarzy.

— Eeee, jaki tam ze mnie podrywacz — powiedział. — Lecą na mnie. to prawda, ale sam właściwie nie wiem, dlaczego.

— No, a ta, z którą się pan umówił, warta grzechu?— zapytał Lipiński ciekawie.

— Fajna babka, tylko że zameżna — odrzekł na to przybysz. — Ale to czasem ciekawiej.

— Ale też czasem smutno się kończy — roześmiał się Lipiński.

Przybyły przewodnik nic już na to dictum nie odpowiedział. Skinąwszy lekko głową Lipińskiemu zaczął przepychać się przez tłum turystów do wejścia i po chwili zniknął we wnętrzu schroniska.

Wszedł na salę jadalną i uważnym wzrokiem omiół wnętrze. Tej, na którą oczekiwał, nie było na sali.

— Może jest na zewnątrz i opala się za schroniskiem — mruknął do siebie. — A może jeszcze nie doszła? Mogła przecież spóźnić się na autobus i wyjechać dopiero następnym.

Żeby się całkowicie upewnić, postanowił zasięgnąć informacji u bufetowej Zosi. rezolutnej młodej góralki z Nowego Targu. Przepychając się przez tłum oblegających go spragnionych turystów¹ podszedł do bufetu i przywitawszy się zapytał:

— Zosiu, nie widziałaś ty tu czasem takiej szczupłej blondyny? Nie pytała o mnie?

Bufetowa popatrzyła na niego z lekko ironicznym uśmiechem.

— A co, Jasiu dziewczyna ci się kajsi zapodziała? Nie do wiary! Takiego harnasia puścić w trombe!

— Nie gadaj byle czego! — zachnął się niecierpliwie przybyły. — Pytała czy nie?

— Nie, nie było tu żadnej takiej — odpowiedziała tym razem poważnym tonem bufetowa. — Może się zatrzymała po drodze, na Pisanej?

— To możliwe — zgodził się. — Upał cholerny, że i mnie język wysechł na wiór. Daj mi kufelek piwa.

Oparł się o bufet i zdmuchnąwszy pianę przypił się do kufła. Teraz dopiero poczuł, jak bardzo chciało mu się pić,

W kącie galerii otaczającej salę jadalną wydzielony był kącik, w którym umieszczono stolik służbowy. Zasiadali tam zazwyczaj strażnicy Tatrzańskiego Parku Narodowego, przewodnicy tatrzańscy lub ratownicy GOPR—u. Mogli oni dzięki temu nawet w czasie największego tłoku spokojnie zjeść, napić się czegoś albo po prostu usiąść i odpocząć. Z tego właśnie kąta wychyliła się nagle twarz starego górala z sumiastym, siwym wąsem, podobnie jak przybysz ubranego w czerwony, goprowski sweter ozdobiony blachą przewodnicką. Góral popatrzył uważnie i naraz zawołał przekrzykując gwar panujący na sali:

— A toż to Jasiak Kaczor! Jašku! Pudź tu ku nam! Dawno my się nie widzieli!

Stojący przy bufecie drgnął, a obróciwszy się w stronę wołającego pozdrowił go skinieniem głowy.

— Witajcie, ujku! Zaraz tam ku wam idę. Cieszem się, co was widzę.

Jakoż i ująwszy kufel w rękę podążył nie mieszkając w stronę stolika służbowego, za którym siedzieli: strażnik tatrzański Fabian i weteran ratowniczego i przewodnickiego rzemiosła, stary Stanisław Lubień. To on właśnie zagadnął przed chwilą Kaczora. Był to mądry i doświadczony górski wyga o twarzy pomarszczonej jak suszona śliwka i tak spalonej górkimi wiatrami, że niemal brązowej. Miał wielki mir i uszanowanie wśród górali, a młodzi, jak to jest tu w zwyczaju, zwali go „ujkiem”, co według miejscowego obyczaju jest wyrazem szczerzego poszanowania.

Kiedy Kaczor zbliżył się do stolika. Lubień skinieniem ręki wskazał mu miejsce naprzeciw siebie i z miejsca zagał:

— Siadajze, Jašku! Mom do ciebie sprawę. Dawno jus chciałem z tobom pogadać.

Kaczor usadowił się wygodnie, pociągnął tęgi łyk piwa z kufła i zwrócił zaciekawiony wzrok na Lubienia.

— Słucham was pilnie, ujku. Co macie do mnie? — zapytał sięgając po papierosa.

Lubień też zapalił, zaciągnął się dymem, pomil—czał chwilę, wreszcie odchrząknąwszy zaczął mówić:

— Chłop z ciebie. Jašku, jak sie patsy, ino co prowadzis się jakoś tak, wyboc. po głupiemu.

— A czemu to? — przerwał mu Kaczor z uśmiechem.

— Widzis, niegłupi ześ, do każdej roboty sprawny, urodny tyz, trza ci to przyznać. A cóz z tego? Trzydzieści roków ci stukło, a ty nic ino za dziewczuchami sie uganas i to bez ładu i składu, jaka podleci.

— Trzeba się przecie wyszumieć, póki człek młody — zareplikował wesołym tonem Kaczor.

— Wyszumieć. to żeś się wysumiał za dziesięciu — burknął strażnik Fabian, który dużo gadać nie lubił, za to piwo ciągnął jak smok.

— Otóż to! — powiedział twierdząco Lubień. — Ociec już ledwo chodzi., matka z każdym rokiem mniej ku gazdowaniu sposobna, pora by dać jej wyрекę, młodą gaździnę do chałupy wprowadzić. Skarżyła mi się matka na cie Jaśku, niedawno.

— Kiedy mi się, ujku, jak dotąd żadna nie widzi — powiedział niefrasobliwym tonem Kaczor.

— Chodziłoś przecie do Kaśki Włodkowych! — zaperzył się stary Lubień. — Rodzina zacna. nasa. góralska. a i dziewczyna jak malowana, robotna, starowna. taka ci dom utrzymie jak trza. A ty co najlepszego robis? Uganas sie za wczasowickami, a teraz. jak słyasałem, jakąś mężatkę uwodzisz. Całe Zakopane o nicym innym nie gada, ino o tym twoim romansie. Az dziw, co żeś jesce po gębie nie oberwał, abo jesce gozej.

— Iiii! — skrzywił się pogardliwie Kaczor. — Nie tak skoro dać mi po gębie. Byle jaki ceper nie bardzo mnie wydoli. A ten. ujku. jakiś taki. jakby w drugą stronę patrzył. Nie przeszkadza.

— Taki miastowy, to może i nie udeży, ino coś paskudnego cichcem ci zrychtuje — burknął znad kufła z piwem strażnik Fabian.

— Tako i ja myślałem — przytaknął mu Lubień i ciągnął dalej: — Cego ty chcesz? Ceperskie babki do obłapiania dobre, ino że na góralskie gazdowanie całkiem nieprzydatne. Wis przecie dobrze. jako u nas jest. Chłop światem goni — a to polowacka, zaś gościa prowadzi, zaś na drugom sironc pudzie, światem ciągiem zyjc. Gazdowanie cale u baby na głowic. Chcesz takom ceperskom lale do chałupy wprowadzić, coby matka jesce i jom miała na głowie? Zastanów ze sie, chłopce!

— Ależ co wy. ujku! — zaprotestował ze śmiechem Kaczor. — Ja przecież wcale nic mam zamiaru się z nią zenić! poznałem ją prawie trzy tygodnie temu na dancingu w „Murowanej Piwnicy”, no i od tego czasu trochę ze sobą chodzimy. Nie kryję, że mi się babka spodobała, ale jak na razie — nic z tych rzeczy.

— No to i lepiej — powiedział nieco łagodniejszym tonem Lubień. — A to myślałem, co żeś całkiem zgłupiał. Tylko uważaj, nie przeciągnij sprawy za daleko. Urwij póki czas. bo zapłacę się i nawet sie nie oglądniesz, jak cie omota, a może i tak być, co dzieciaka zrobisz. to wtedy już przepadłeś. Mówię ci. Jaśku, zakończ ten romans póki czas. pogadaj z Włodkowymi i bier Kaśkę. Dziewczyna za tobom już dawno ocy wy-patruje. Twoi starzy, wiem, bom z nimi gadał, tyż som nie od tego.

Kaczor słucha! uważnie i z należytyim szacunkim tego. co mu prawil siary przewodnik, ale myślami błądził gdzieś indziej.

— Wybaczcie, ujku — powiedział patrząc na zegarek. — To coście mi tu powiedzieli, to wszystko prawda. Ja leż myślę, że czas skończyć ten romans, że czas o zeniaczce pomyśleć, chociaż czy z Kaśką, tego nie wiem jeszcze. Teraz jednak trochę się martwię. Ewa miała tu być po dwunastej, a teraz jest już prawie trzecia. Nie wiem. co się mogło z nią stać. Przecież dotychczas była zawsze taka akuratna i jak powiedziała, że będzie o określonej porze, to nic było przypadku, aby nic przyszła.

— Eeee, chłopce — powiedział lekceważącym tonem Lubień. — A gdzieżby sie zapodziała na taki ceperskiej drodze jako Kościeliska Dolina? Przecie tu i dzieciak tyż nie pobłądzi...

Kaczor słuchał tego wszystkiego jednym uchem, ale wyraźnie zbierał się do wyjścia.

— Może i macie rację — powiedział. — Ja też myślę, że nic poważnego nie mogło się jej na trasie przydarzyć, ale lecę do Zakopanego. Nic tu po mnie, a tam prędzej się o wszystkim dowiem.

— Pewno, ze tak — przytwierdził Lubień. — Chybaj wartko dołu.

Kaczor wstał od stolika, kiwnął na pożegnanie swoim rozmówcom głową, zarzucił swój plecak na ramię i już go nie było.

V

Czas upływał. Było jej coraz zimniej i w coraz większą wpadała depresję. Co teraz robić? Przecież nie sposób siedzieć beczynn timer i czekać, aż może kiosk przypadkowo tu zagładnie. Trzeba koniecznie coś zacząć robić— No tak. ale co? Co można zdziałać w sytuacji, gdy nic zna się w ogóle tej ani też żadnej jaskini, w ogóle gór i w dodatku nie ma się światła?... Światła? Chwileczkę! Ma przecie? paczkę papierosów i zapalniczkę! Zupełnie o tym zapomniała sparaliżowana pierwszym paroksyzmem strachu. Niewiele to, ale w każdym razie już coś! Trzeba teraz zapalić papierosa, uspokoić nieco nerwy i wtedy dopiero spokojnie przemyśleć całą sytuację.

Zerknęła znowu na zegarek. Minęła właśnie czternasta czterdzieści.

Wydobyła z torby typu „konduktorka” paczkę marlboro i zapalniczkę. Wydłubała po omacku jednego papierosa, włożyła go do ust i szczęknęła przyciskiem zapalniczki. Błysnął nikły płomyk i rozświetlił na chwilę mroczne wnętrze jaskini. Ten wąty blask światła wlał w jej serce nieco otuchy Zrobiło się jej jakoś różniej.

VI

Po wyjściu Kaczora przy stoliku przez pewien czas panowała cisza, którą przerwa) wreszcie Fabian mruknąwszy bardziej do kufła niż do swych współtowarzyszy:

— Ciekawe, co tyz się z tom babkom stało? Puściela w trombe Jaśka, cy tyz cosik sie jej przytrafiło?

Siedzący z nimi od paru minut Lipiński wzruszył lekceważąco ramionami.

— A co się mogło przytrafić? Pogoda wspaniała, droga prosta, dziecko nie pobłądzi. Na trasie tłumy turystów. Spotkała kogoś, kto jej coś bardziej atrakcyjnego zaproponował i machnęła ręką na randkę z Kaczorem.

— Daj Bóg, coby tak beło — odezwał się Lubień. — Przydałoby się Jaśkowi, coby mu kiedy jaka babka zagrała na nosie.

— Ano — mruknął Fabian zdmuchując pracowicie pianę z kolejnego kufla. — Prowde godos. Moze by i zmondzoł.

— Na pewno tak było — powiedział lekceważącym tonem Lipiński. — Poszła z kim innym, a Kaczor nie tyle o nią się niepokoi, co raczej o siebie, by nie wyjść przypadkiem na durnia, i to publicznie.

Stary Lubień popatrzył na niego uważnie spod krzaczastych brwi i odezwał się z powagą w głosie:

Moze być tak, jako mówicie, a może ni — powiedział. Wy, panie Lipiński, u nos niedawno, to i nie dziwne, co tak mówicie, no my, co tu wyrosli i niejedno widzieli, nie lekceważymy nawet głupiej sprawy. My ze Staskiem — tu kiwnął głową w stronę Fabiana — nie takie rzeczy widzieli. Roków z dziesięć będzie, jak w taki ze sam słoneczny dzień poseł se w Strążyskom turysta pospacerować. Poseł i zaginoł dokumentnie. Tak sie zapodział, co my go dwa roki sukali i nic. A tyz pirsy roz przyjechoł w Zakopane. Kombinowali my na wszyckie strony, kie by mógł pójść, no nic z tego nie wychodziło. Stracili my juz całkiem nadzieje, co kiedy juz nie jego no jego kości najdziemy, az tu dwa roki późni, tak na wiesne. Słasck w obchód rewiry ruseł. a wtedyk beł strażnikiem w Strążyskiej. Set no i na ścieżce nad Regłami, około Sami Skalki, obacył chlcbacek całkiem juz przegnity. Wzion go i w chlcbacku nasci w plastik owinięte dokumenty tego, co go my tak sukali. Rusyli my tam zarutko no i naśli w kosówce, metry ze czy od ścieżki. Leżał skurcony. skielet ocywiście, cheba na serce mu się zmarło. Rzec w tym. co my przecie tom ścieżkom nie roz, nie dziesięć przechodzili i taki nie naśli. Różnie to w górach, panie Lipiński, bywo i nie można tak z góry lekceważyć żadnego zaginięcia.

— Hej! Prowda! — burknął lakonicznie Fabian.

— Ależ tu przecież sprawa jest inna — zaprotestował Lipiński — — To na dobrą sprawę nie był żaden spacer w góry, a po prostu przejście bitym traktem, wśród gór co prawda, do schroniska na randkę. Gdzie tu miejsce na nieprzewidziane zdarzenia, poza tym jednym, że zmieniła plany? Jesteście chyba przeczuleni.

— Jo tyz nic godom, co sie cosik z niom stało, no i taki możliwości nie wyklucam.

— To może zadzwonić na pogotowie? — podsunął Lipiński.

— Za rano i nie nasa sprawa — odezwał się Fabian. — Jaśka w tym głowa. Pochodzi za niom i jak obacy. co cosik nie tak. sam zgłosi.

— Słuszne — poparł go Lubień. — Cas pokaże, jak z tom babkom beło. Ino ty, Stasku. kiej bedzies obchód robieł. dawaj bacenie. Nie zawadzi.

— Juz ty sie nie turbuj — powiedział Fabian. — Bede uważnie pacszał.

VII

Zaczęła się zastanawiać, głęboko zaciągając się dymem papierosa. Czy to pod wpływem nikotyny, czy też na skutek zdeterminowania, uspokoiła się prawie zupełnie, a nawet zrobiło się jej jakby cieplej. Sięgnęła po następnego papierosa.

Dopiero teraz, w świetle nikłego płomienia zapalniczki, zaczęła rozglądać się dookoła uważnie. Miejsce, w którym się znalazła, stanowiła wąska, niezbyt obszerna komora o wysokim sklepieniu, zamknięta z jednej strony skalnym, ociekającym wodą progiem, a z drugiej otwarta na wąski, kręty, ginący w mroku korytarz. Z progu zwisała namokła lina, służąca zapewne do wdrapywania się nart przy przejściu w dalsze panie jaskini.

Poświeciła jeszcze raz zapalniczką i starannie, krok po kroku, zaczęła penetrować wnętrze komory. Musiała przecież dobrze zapamiętać szczegóły otoczenia, by względnie pewnie poruszać się w ciemności.

Nagle... ku swojej ogromnej radości dostrzegła na skalnym gzymsiku przyklejony niewielki ogarek świeczki. To znalezisko było w jej sytuacji skarbem nieocenionym. Teraz, mając stałe światło, będzie już mogła dokładniej spenetrować wnętrze komory, a nawet najbliższe partie korytarza. A może, błysnęła jej nagle myśl odnajdzie wyjście z tej skalnej pułapki?

Jeszcze raz szcęknęła zapalniczką. Wnętrze komory rozjaśniło się bladym światłem zapalonego ogarka świecy. Zaczęła znowu, tym razem jeszcze bardziej systematycznie, badać teren wokół siebie. Ku swej ogromnej radości odkryła, że na podłodze, tuż pod skalnym gzymsem, leży wdeptany w błoto duży kawałek świecy, znacznie większy od tego, który uprzednio znalazła. To niespodziewane znalezisko zastrzyknęło jej tak dużą dawkę optymizmu, że prawie uwierzyła, iż wszystko skończy się dobrze i że nawet ona sama zdoła się z tego wygrzebać. Zerknęła na zegarek. Zbliżała się siedemnasta.

VIII

Anna zobaczyła go prawie w tej samej chwili, gdy się pojawił na sali. Przerwała rozmowę z przystojnym, czarnowłosym dyżurnym ratownikiem Maćkiem Romanowskim, który jej towarzyszył, uśmiechnęła się i pomachała mu ręką. Przybyły dostrzegł ten znak i ruszył szybko w kierunku jej stolika.

— Co to za facet? — spytał ciekawie Romanowski.

— „Mefisto"! Nie pamiętasz go?

— Nigdy bym nie poznał — powiedział Romanowski — To przecież tak dawno... Byłem wtedy chłopakiem. Miałem szesnaście lat. Stare dzieje.

Przybyły mężczyzna był już przy ich stoliku. Gdy się przywitani. Anna powiedziała z uśmiechem:

— Myślałam, że już nie przyjdiesz. Że rozmyśliłeś się lub coś ci wypadło.

Przybyły wzruszył ramionami.

— Co miało wypaść? Nie ma takiej przeszkody— której bym nie sforsował, żeby zdążyć na spotkanie z tobą .Po prostu coś jakaś wewnętrzna siła czy też napór wspomnień, zmusiły mnie, aby najpierw wpaść do Małej Łąki. do wylotu Śnieżnej. Taki rodzaj pielgrzymki w przeszłość po z górą dziesięciu latach.

Anna popatrzyła na niego uważnie.

— A więc jednak nie zapomniałeś tamtych wydarzeń? — odezwała się po chwili milczenia. — To dobrze. Teraz, po latach, trochę inaczej widzę tamte sprawy, zresztą gdyby tak nie było, nie spotkalibyśmy się tu dzisiaj. Ale zostawmy przeszłość w spokoju. Było. minęło.

Romanowski podniósł się od stolika i zwracając się do obojga powiedział z uśmiechem:

— No, nie będę wam przeszkadzał w spotkaniu po latach. Pójdę do dyżurki popracować. Cieszę się, Mefisto, że znowu pokazałeś się w górach. Byłeś kiedyś dobry.

Skinieniem głowy pożegnał ich i ruszył przez salę w stronę dyżurki. Patrzyli za nim oboje, a przybyły powiedział z nutką zdziwienia w głosie:

— Dzieciak był z niego wtedy prawie, a tak mnie zapamiętał. Czyżbym się w ogóle nic zmienił?

— Wprost przeciwnie — powiedziała Anna. — Zmieniłeś się. i to bardzo. Nie poznałby cię na pewno. To ja mu powiedziałam, kim jesteś i przypomniałam twój przydomek.

— Aaa. To zmienia postać rzeczy — powiedział jakby z ulgą i zmieniając temat zwrócił się do Anny: Co u ciebie słyhać? Podobno zostałaś sama? Słyszałem o jakimś wypadku twego męża.

Anna wyraźnie posmutniała.

— Tak, Michał był kapitanem „Lolu”. Latał po trasach zagranicznych. Niespełna rok temu. czytałeś zapewne w prasie, rozbił się w czasie mgły podczas przelotu gdzieś nad Pirenejami. Zginęli wszyscy. Zostałam więc teraz z czteroletnim synkiem. Jakoś sobie radzę.

— A co zrobiłaś z malcem jadąc tutaj?

— Zostawiłam go po prostu pod opieką babci. Zresztą ja muszę pracować, zarobić na nas oboje. Malec więcej z tego powodu przebywa z babcią niż ze mną. Przywykł już do tego.

Przybyły skłonił głowę z wyrazem ubolewania na twarzy.

— Serdecznie ci współczuję. Chętnie pomógłbym ci w czymś... Przecież wiesz, że...

Przerwała mu gwałtownie, zanim zdołał dokończyć zdanie.

— Wiem! Nie widzę jednak żadnej ku temu potrzeby! Powiedz mi lepiej, co u ciebie — dodała nieco łagodniejszym tonem. — Podobno się ożeniłeś?

— Tak, ale nie ma chyba o czym mówić — powiedział. — Niewypał.

Anna pokiwała smętnie głową. — To przykre. Nie wiedzie ci się jakoś z kobietami...

Popatrzył jej uważnie w oczy.

— Była i jest taka jedna, która — jeśli tylko chciała...

Przerwała mu znowu.

— Zostawmy ten temat — odezwała się stanowczo. — Nie czas tu ani miejsce, by o tym mówić. Zresztą, mój drogi, nikt nie jest w stanie wejść dwa razy do tej samej rzeki. Przeszłości, tego. co minęło, przywrócić się nie da.

Pokiwał głową.

— Wybacz — powiedział. — Tak mi się tylko wyrwało. Czy kiedyś będę mógł cię odwiedzić w Krakowie

— Oczywiście. Nic nie stoi na przeszkodzie. Na nic więcej...

— To mi wystarczy. Chcę tylko, by wróciło nasze dawne zaufanie i sympatia. Przy okazji poznam twojego syna.

— Minione lata zmieniły cię jednak na korzyść — zauważyła Anna. Już teraz nie jesteś taki agresywny i apodyktyczny jak kiedyś.

— Dla ciebie gotów jestem...

— Słuchaj — przerwała mu — o ile pamiętam, proponowałeś mi wspinaczkę?

— Rzeczywiście — powiedział. — Przyniosłem nawet ze sobą sprzęt.

— No właśnie — powiedziała Anna. — Nie wiem, czy jeszcze coś zostało z moich dawnych umiejętności, ale chętnie spróbuję. Może nie wszystko zapomniałam.

Poderwał się od stolika.

— Jeśli tak, to szkoda czasu. Chodźmy, bo minęło już dawno południc. Pobiegnę i wpiszę nas do książki. Co powiesz, na filar Swinicy?

— Dobrze — zgodziła się Anna. — Zawsze lubiłam tę górę.

Pobiegł szybko do przedsionka, gdzie wyłożona była książka wyjść taternickich, a Anna poszła na górę, by przebrać się w strój stosowny do wspinaczki. Po jakichś niespełna piętnastu minutach wychodzili oboje ze schroniska. Ruszyli ścieżką turystyczną wiodącą przez zachodni kocioł Doliny Stawów Gąsienicowych ku Swinicy. W godzinę później byli już u stóp północno—zachodniej ściany. Anna zwróciła się do partnera:

— Którym wariantem wchodzimy?

— Oczywiście czołowym! — zawołał z zapalem. — To najładniejszy wariant wejścia!

Związali się i rozpoczęli wspinaczkę. Skała była sucha, wygrzana w słońcu, wspinało się im więc lekko i przyjemnie. Kiedy po trzech godzinach wspinaczki rozwiązywali się na szczycie, słońce miało jeszcze kawałek drogi do przebycia, zanim skryje się za linią grani. Siedli więc na zwiniętej linie, a mężczyzna wydobywszy z kieszeni tabliczkę czekolady sumiennie przełamał ją na dwie połowy, jedną z nich dając Annie. Siedzieli więc tak czas jakiś w milczeniu obok siebie, gryząc czekoladę i podziwiając roztaczający się przed nimi krajobraz, powlekający się już z wolna przedwieczną mgiełką. W pewnym momencie Anna zerknąwszy na zegarek, zawołała:

— Toż to już osiemnasta! Pora schodzić. Szkoda, ładnie tu i chciałoby się tak siedzieć i siedzieć.

—Rzeczywiście pora — zgodził się z nią skwapliwie, — Masz rację, szkoda, że trzeba już wracać. Ja też chętnie zostałbym tu aż do zmroku. Ale to nic. za dwa. trzy dni wpadnę znowu, i to z samego rana. Wtedy nawspinamy się do woli.

— Bardzo chętnie — powiedziała Anna. — Teraz, kiedy już wiem, że nie zapomniałam wspinania, chętnie się znowu z tobą wybiorę. Zwłaszcza że, jak widzę, jesteś w zadziwiająco dobrej formie,

— Nie przyjeżdżałem do Zakopanego, ale wspinałem się przez te ostatnie lata — przyznał z pewnym ociąganiem. — Byłem w Alpach. Pirenejach i w Pirynie. Jeździłem sam i wspinałem się trochę z obcokrajowcami.

— To widać — uśmiechnęła się Anna i dodała: — Znaczy, że do środowiska nie wróciłeś?

— Nie — mruknął chmurnie. — Jak sama niedawno powiedziałaś: nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki.

Mówiąc to kilkoma ruchami wtłoczył do plecaka linę i pozostały sprzęt, zarzucił plecaczek na ramię i oboje szybko zaczęli zbiegać z boczem ku biegnącej nieco poniżej szczytu ścieżce.

Zmierzchało już się na dobre, gdy dochodzili do „Murowańca”. Zatrzymali się w miejscu, gdzie tuż przy schronisku odgałęziała się ścieżka, prowadząca przez Królową Rówień i Boczań do Kuźnic i Zakopanego. Tu się pożegnali i on ruszył z miejsca ostrym krokiem, wołając jeszcze do Anny na pożegnanie:

— Do zobaczenia! A nie zapomnij. Aniu—wypisać nas z książki!

Anna pomachała ręką i odkrzyknęła:

— Bądź spokojny! Zrobię to zaraz po przyjściu! Do widzenia.

IX

Zerknął na zegarek. Zbliżała się dwudziesta... Był akurat na rogu Kościuszki. Wszedł do hallu kawiarni, by zadzwonić do Bukowskiej, dowiedzieć się, czy Ewy nie ma w domu. Podszedł do wiszącego przy ladzie telefonu i nakręcił numer. Niestety, Ewa Borkowska dotychczas nie powróciła. Również jej mąż był nieobecny. Wybrał się niedługo po niej gdzieś do znajomych.

Skończywszy rozmowę Kaczor wyszedł z kawiarni i zdecydowanym krokiem skierował się w stronę „Dworca Tatrzańskiego” na drugą stronę Krupówek, gdzie mieściła się siedziba Grupy Tatrzańskiej GOPR.

X

Ujawszy w rękę zapalony ogarek świecy ruszyła z determinacją w głąb korytarza. Początkowo wszystko szło dobrze. Korytarz, chociaż meandrujący nieco i pełen załomów, zachowywał jednak wyraźny kierunek, co pozwalało jej iść względnie szybko, zbytnio nie zastanawiając się nad wyborem drogi. Niebawem jednak sytuacja poważnie się skomplikowała. W miejscu, do którego doszła, korytarz rozszerzał się

nico, dzieląc na kilka bocznych odgałęzień, zaś główny jego ciąg zamykała skalna ściana, u podstawy której widniała niewielka szczelina, do połowy światła wypełniona wodą maleńkiego jeziora utworzonego w zagłębieniu dna.

Stała bezradna. Którędy teraz pójść?... Coś ciągnęło ją ku tej wąskiej szczelinie, ale patrząc na jej nikle rozmiary powątpiewać zaczęła, czy tamtędy można by się precyzyjnie, czy jest to właściwa droga prowadząca ku wyjściu.

Po dłuższym wahaniu zrezygnowała w końcu z jakichkolwiek prób jej forsowania. Gdyby idąc w tę stronę nie szła z tak bezgranicznym zaufaniem za swym przewodnikiem, gdyby więcej zwracała uwagi na otoczenie...

Stała teraz przed zagrażającą jej drogę skalną ścianą i rozglądała się bezradnie. Nie mogła się zdecydować, co dalej robić, a czas płynął. Opanowały ją znowu przygnębienie i apatia. Już teraz całkowicie straciła orientację. Pewna była tylko skąd przyszła, czyli kierunku do niży. do tej skalnej pułapki ociekającej wodą. W pewnej chwili spostrzegła, że świeca wypaliła się niemal do połowy. To ją otrzeźwiło. Postanowiła wracać. Trzeba oszczędzać Światło, zwłaszcza że nie wiadomo, jak długo będzie musiała tu przebywać. Teraz przecież już i lat nic mądrego nie wymyśli. Lepiej więc wrócić, odpocząć, posilić się nieco, a potem znowu można będzie spróbować.

Zerknęła na zegarek. Zbliżała się godzina dwudziesta.

— Na pewno już mnie zaczęli szukać — powiedziała do siebie głośno, jakby treścią tych słów chciała dodać sobie odwagi. — Minie może jeszcze parę godzin, ale na pewno mnie znajdą.

Coraz częściej zaczynała odczuwać potrzebę głośnego mówienia. Dźwięk własnego głosu uspokajał, pozwalał opanowywać lęk, coraz bardziej wzmagający się strach, który jak dzikie zwierzę szczyrzył do niej zębami z każdego kąta tej pogrążonej w mroku jaskini. Znowu zaczęło jej być zimno. Do czasu, gdy działała, ruszała się, nie czuła chłodu, ale teraz trzęsła się jak galareta. Ubrana tylko w spodnie z texasu, lekką bluzkę i kurtkę od dresu nie była zupełnie przygotowana na taką eskapadę i temperaturę panującą w jaskini.

XI

W pokoju dyżurnych Grupy Tatrzańskiej Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, mieszczącego się na pierwszym piętrze okazałego, zbudowanego w podhalańskim stylu „Dworca Tatrzańskiego”, panowała cisza i przytulny, niemal domowy nastrój. Z dużego odbiornika radiowego płynęła cicha, skoczna melodia, a przytłumione światło podkreślało jeszcze intymny nastrój i atmosferę spokojnego wypoczynku.

Na wygodnym fotelu koło biurka z ustawioną na nim radiostacją podrzemywał sobie Józef Włodkowy, dyżurny ratownik, stary tatrzański wyga, zaś obok, na wersalce, leżał rozciągnięty w niedbalej pozycji Jacek Dylik, alpinista, instruktor taternictwa i ratownik ochotnik. Obaj oni stanowili obsadę centrali pogotowia, pełniące stały dyżur dla całego obszaru Tatr Polskich. Właśnie przed trzema dniami, w poniedziałek, objęli swój dyżur, który trwał cały tydzień. Jak na razie ku ich nie skrywanemu zadowoleniu, dyżur ten przebiegał spokojnie, bez jakichkolwiek meldunków o wypadkach.

— Ech, kurwa — powiedział Dylik marzycielskim tonem. — żeby to tak do końca było. Wypocząłby sobie człowiek po tej półtoramiesięcznej szkoleniowej harówce.

Włódkowy popatrzył na niego ironicznie.

— Nie bój nic. Jacku — powiedział przeciągle. — Jeszcze i nam się dostanie. Sierpień to przecie pełnia sezonu. Pogoda dopisuje, wczasowców od groma, ino pacseć. jak cosik zmalujom.

— Nie kracz. Józku, bo wykraczesz —zawołał ze śmiechem Dylik. — Tak mówisz, że myślałby kto. że tęsknisz wprost za jakąś akcją.

— Eee tam. tęsknić to ja nie tęskniem — odpowiedział z niezmaconym spokojem Włódkowy. — Ino co za długo w tym pogotowiu siedzem. co bym nie wiedział, jak i co. Obacys. co jesse dziś może sie nam cosik przytrafić.

— Wypluń te słowa —mruknął Dylik i z beztroską miną wyciągnął się na wersalce, a przyjmując jeszcze bardziej wygodną pozycję, sięgnął niedbałym ruchem za głowę, gdzie w kącie, tuż za wersalką, stało równiutkim rzędem cztery, a może sześć butelek z piwem. Wydostał jedną, odbił kapsel o kant biurka i pociągnął spory łyk. Zanim jednak zdążył powtórzyć ten manewr, drzwi do dyżurki otwały się gwałtownie i do pokoju wszedł, a raczej wbiegł. Jan Kaczor. znany przewodnik tatrzański, taternik i grotolaz, jak również — podobnie jak Dylik — ratownik ochotnik. Wyglądał na mocno wzburzonego i kiwnąwszy zaledwie głową na powitanie obu dyżurnym bez jakichkolwiek wstępów zaczął mówić szybko zwracając się do Włódkowego:

— Słuchaj. Józku! Jest taka sprawa! Byłem umówiony z babką na Ornaku. Z taką jedną wczasowiczką, mężatką. Wiem, że wyjechała na Kiry. ale na Ornak nie doszła. Gdzieś się zapodziała po drodze. Do domu też nie wróciła Wiem. bo przed chwilą dzwoniłem. Mieszka u Bukowskich na Makuszyńskiego. Boję się. żeby się z nią coś nie stało. Dylik aż zaniósł się gwałtownym śmiechem.

— Aleś, kurwa, akcję Józku wykrakał — powiedział z gryzącą ironią i zwracając się do Kaczora kontynuował: Źeś głupi, to twoja sprawa, ale po co po nocy nam dupy zawracasz? Nie kiwnął cię nigdy żaden dziwus? No to masz ten pierwszy raz. Miała dość wyleńskiego Casanowy i poszła z innym w cug. Zamiast tu nam truć. poszukaj sobie zastępczyni i po krzyku.

Kaczor zmieszał się nieco, a Włódkowy spojrzawszy z dezaprobatą na Dylika powiedział ugodowym tonem:

— Ty. Jacku, mas cholernie niewypazonom gembe. Duzo w tym racji coś powiedział, no przecie może być i inacy.

— Gówno prawda! — zareplikował opryskliwie Dylik. — Po Kościeliskim deptaku niemowlaki mogą bezpiecznie raczkować bez opieki mamy a wy chcecie mi wmówić, że na tej promenadzie w biały dzień zginęła dorosła kobieta? Wygląda na to. żeście ratowniczego hyzia obaj dostali. Nie lubię, kurwa, takich dowcipów.

Włódkowy pokiwał głową z dezaprobatą.

— Naskocyles na Jaśka jak na śpica powiedział. — Nie można tak. Moze i mos racje i jem to zwyczajna głupia sprawa, a moze i być cosik poważniejszego. Z mężem jej. Jaśku, godoles? — zwrócił się do Kaczora.

Ten pokręcił przecząco głową

— Nie ma go w domu. Poszedł gdzieś na spacer czy wycieczkę.

— No właśnie — wtrącił Dylik. — Babka wolała iść na spacer ze swoim chłopem, zamiast do tej pie-przonej Kościeliskiej na randkę z tobą. Ot i cała zagadka.

— Nie poszła z nim zaprzeczył Kaczor. — Bukowska mówiła, że wyszedł z domu znacznie później niż ona.

Włódkowy bez słowa sięgnął po telefon i nakręcił numer.

— Pani Bukowska? Włódkowy z Centrali GOPR się kłania. Jest tu u nas Kaczor i melduje o zaginięciu pani lokatorki. Jako to z tym jest?.., — Aha. Znacy się mówiła. co tam jedzie?.. A cy jej mąż wrócił już?. No to jak wróci, powiedzcie mu. coby ku nam zadzwonił... Myślem. co nic poważnego, no nie zawadzi mieć bacenie. Dobranoc

Odłożył słuchawkę i powiedział zwracając się do Kaczora:

— Na razie nie ma o co robić rabanu. Pocekamy. az wróci jej mąż i on zadecyduje. Na dobrom sprawę ni mos. Jasiu, żadnych podstaw składać meldunku, a my na jego podstawie zacynać akcję

— Jak to? — powiedział nieco zaskoczony Kaczor.

— A tak to — wtrącił się znowu Dylik. — Aniś ty jej brat. ani swat. To. że ją podrywałeś, twoja sprawa. Tak samo jak i to. że ci na randkę nie przyszła. Gdybyśmy wszystkich takich randkowiczów meldunki uwzględniali, to. kurwa, ani spać. ani jeść nie byłoby czasu. Mąż albo gospodyni zgłoszą zaginięcie, trudno, zaczniemy szukać. A ty idź spać i nie zwracaj nam dupy.

— Na ten roz Jacek prawdę powiedział — wtrącił Włódkowy. — Ty ni mos żadnego prawa uruchamiać akcję, zwłaszcza co ni mos żadnych konkretnych podstaw. Powiedziałeś nam. co wis o ty sprawie, to piknie, zapisemy i będzie w książce dyżurów. Ale rešta już cie nie obchodzi. To tylko sprawa jej męża.

Kaczor zastanawiał się przez chwilę.

— To ja już chyba pójdę — powiedział wreszcie. — Faktycznie nic tu po mnie.

— Pewno co idź. wyśpij sie. a jutro tak koło dziesiątej wpadnij ku nam, moze nacelnik bedzie chciał z tobom gadać.

Kaczor wyszedł, a Włódkowy zwrócił się do Dylika:

— Dobrze będzie, jeśli wyndzie na twoje, bo jeśli nie. to brzyćka może być sprawa. Nie wiadomo przecie, co. jak i gdzie. Trza by beło całom dolinę przesukać. Wis dobrze, jaka to sakramencka robota.

Dylik kręcił głową z powątpiewaniem.

— Cholernie dziwnie to wszystko wygląda — powiedział. — Biorąc tak na zdrowy rozum to to jest czysty bezsens. Nie mogę ni rusz wyobrazić sobie zaginięcia w takich okolicznościach.

— Widzis. to się tak tylko wydaje — mruknął z zadumą Włódkowy. — Tylko wis co? Z tymi turystami, a scęgólnic wcasowicami. to nigdy nic nie wiadomo. To. co im może wpaść do głowy, to tobie abo mnie na myśl by nawet nie przyszło. Mogła sie babka gdziesi z ciekawości zaprać i nawet skielznąć dołu. nogę złamać abo się i ubić. Różnie to bywało.

Dylik rozmyślał nad czymś przez chwilę.

— To może i dobrze by było, żeby się ktoś. nie specjalnie, ale ot tak przeleciał i popatrzył po kątach. Bo jakąś większą akcję robić nie bardzo jest sens.

— Nie wadziłoby— tylko co to. to już będzie należyć do nacelnika. przyjdzie jutro rano. to uwidzimy. co zarządzi.

— A może zadzwonić do niego? — zastanawiał się Dylík.

— No i co mu powiesz? Sam się obśmiewas z ty histori. a kces nacelnikowi głowe zawracać? Teraz ty, Jacku, pieprzys głupoty.

Dylík wzruszył ramionami,

— Przy was każdy może zgłupieć. Z byle gównianej historii potraficie zrobić problem i, co gorsza, często wy właśnie macie rację.

Włodkowy roześmiał się ubawiony.

—Nie bede ci krzywy, jeśli tą rażą wyńdzie na twoje — powiedział pogodnie. Cale ni mom ochoty ganiać po kosówkach i sukać nie wiada cego i gdzie.

Zbliżała się dwudziesta pierwsza. Telefon milczał, widocznie Borkowski jeszcze nie wrócił do domu. Dylík sięgnął znowu za wersalkę i wydobył tym razem dwie a nie jedną butelkę z piwem. Podał jedną z nich Włodkowemu. zaś drugą, otwarłszy, sam zaczął opróżniać.

W tej chwili zadzwonił telefon.

XII

Zadowolony z siebie i minionego dnia zbiegał Borkowski serpentynami ścieżki. Była dziewiętnasta trzydzieści, kiedy dotarł do przystanku. Akurat przed chwilą odszedł autobus do Zakopanego. Postanowił nie czekać na następny, który miał być za pół godziny, a przejść się do domu na piechotę. Zresztą odległość nic była taka wielka, wszystkiego cztery przystanki, ponadto pogoda była wspaniała, a niebo aż się iskrzyło od gwiazd.

Droga do mieszczącej się przy ulicy Makuszyńskiego willi Bukowskich, w której mieszkał z żoną. zajęła mu niewiele ponad pół godziny. Było więc zaledwie piętnaście minut po dwudziestej, gdy przekraczał próg domu. W hallu milknął się na Bukowską, która wyraźnie zdawała się oczekiwać na jego powrót, bardzo zdenerwowana.

— Panie Borkowski! — wykrzyknęła na jego widok. — Pańska żona zaginęła!

Borkowski zerknął na zegarek.

— Czy pani aby nie przesadza? — powiedział. — Jest dopiero parę minut po dwudziestej. Ja w tej chwili, jak pani widzi, wróciłem dopiero ze swojej wycieczki. Sto przyczyn złożyć się może na nieco spóźniony powrót. Poza tym Ewa jest dorosła i na tyle rozsądna, że można jej zaufać.

Borkowska pokręciła przecząco głową.

— Nie, proszę pana, nie ma pan racji lekceważąc to, co powiedziałam. Jest gorzej, niż pan przypuszcza — mówiła nadal podniesionym, mocno podenerwowanym głosem. — Dzwonił pan Kaczor, który miał się z nią spotkać na Ornaku. Pańska żona nie przyszła na spotkanie, chociaż wiemy, że tam pojechała, Kaczor powiadomił już pogotowie i dyżurny dzwonił niedawno prosząc, żeby pan zaraz po powrocie się z nimi skontaktował.

Borkowski spoważniał, ale nadal był sceptycznie nastawiony.

— Ależ to brednie! — zawołał zniecierpliwionym tonem. — Kaczor dramatyzuje. Być może Ewa spóźniła się nieco, minęli się w drodze i stał cały kram. Bardzo możliwe, że czekała na niego zbyt długo i bojąc się wracać sama o zmroku została na noc na Ornaku. Zaraz zadzwonię i sprawdzę.

— Jeżeli by było tak, jak pan mówi, to przecież by zadzwoniła — zaproponowała Bukowska, ale już znacznie spokojniejszym tonem.

Borkowski uśmiechnął się z wyrozumiałością.

— Po pierwsze wiedziała, że poszedłem na wycieczkę i nic ma mnie w domu. Po drugie sędzę, że gdybyśmy jeszcze trochę poczekali, doczekalibyśmy się od niej telefonu. Powtarzam, jest jeszcze dość wcześnie.

— Może i pan ma rację — mruknęła niezbyt jednak przekonana. — Ale do pogotowia niech pan zadzwoni. Czekają tam na pana telefon.

— Ależ oczywiście — Borkowski tłumaczył gospodyni cierpliwie jak małemu dziecku. — Zadzwonię, tylko najpierw połączę się z Ornakiem. Nadal uważam, że cały alarm był zbyteczny.

Bukowska już nic próbowała tłumaczyć i postanowiła czekać na dalszy rozwój zdarzeń. Zresztą spełniła swój obowiązek. Tęcza wszystko zależy od jego decyzji. Zrobi tak, jak będzie uważał za stosowne.

Borkowski tymczasem odłożywszy na krzesło plecaczek podszedł do wiszącego na ścianie w hallu aparatu telefonicznego i zaczął nakręcać numer schroniska na Ornaku. Połączenie uzyskał prawie natychmiast i po chwili już rozmawiał z kierownikiem schroniska.

— Dzień dobry panu. Mówi z Zakopanego Borkowski. Chciałem się dowiedzieć, czy przypadkiem nie została u was na noc moja żona, Ewa Borkowska. Wybierała się tam do was. Wyszła wcześniej rano i dotychczas jeszcze nie powróciła... Tak. Oczywiście, że zaczekam.

Stał chwilę ze słuchawką w ręku w oczekiwaniu na dalszy ciąg rozmowy. Wreszcie Lipiński wrócił do telefonu i w słuchawce zabrzmiał jego głos. Borkowski słuchał uważnie, wreszcie powiedział.

— Więc pan twierdzi, że nikt o tym nazwisku nic zatrzymał się u pana? W takim razie jeszcze jedno pytanie. Czy był tam u was dzisiaj pan Kaczor, przewodnik tatrzański? Był umówiony z moją żoną... Około pierwszej? I też czekał? Jesi pan pewny, że się z nią nie spotkał?... Rozumiem. To znaczy, że do schroniska moja żona nie dotarła. O której pan Kaczor poszedł na dół? Około szesnastej? Tak, to wszystko, dziękuję.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do gospodyni z twarzą poważną i zatroskaną.

— Miała pani rację — powiedział. — Ta sprawa wcale nie wygląda tak wesoło, jak przypuszczałem.

— Przecież panu mówiłam — powiedziała urażonym tonem Bukowska. — A pan nic. tylko swoje. Tu, w górach, nigdy nic wiadomo, co się komu przydarzy.

— W porządku, pani Bukowska — odezwał się Borkowski ugodowo. — Słusznie. to pani miała rację, a ja się myliłem. Zaraz zadzwonię na pogotowie i trzeba będzie rzeczywiście rozpocząć poszukiwania.

Podszedł znowu do telefonu i zaczął nakręcać numer pogotowia. Czekaj! przez dłuższą chwilę ze słuchawką w ręku, wreszcie otrzymał połączenie.

Pogotowie górskie? Mówi Stefan Borkowski. Wróciłem właśnie przed chwilą z wycieczki i dowiedziałem się od gospodyni o zaginięciu mojej żony. Nic kryję, że w pierwszej chwili zlekceważyłem sprawę, ale gdy zadzwoniłem na Ornak i dowiedziałem się, że faktycznie tam nie przybyła, zacząłem się poważnie niepokoić. I'odobno już pan Kaczor zgłasza! wam to zaginięcie? Ja ze swej strony proszę również o pomoc w ustaleniu, co się stało z moją żoną... Tak. oczywiście, rozumiem, że dane są nadzwyczaj skąpe. Ja sam nie mogę sobie wyobrazić, jak na takiej spacerowej trasie można zaginąć, ale fakt jest faktem. Ostatecznie to przecież człowiek, nie igła. nie mogła tak bez śladu się zawieruszyć... Oczywiście. To zrozumiałe, że dopiero z rana... — Sam mam nadzieję, że

może jeszcze przed świtem odnajdzie się i zaoszczędzi nam wszystkim kłopotów. Do jutra. Dobranoc.

Borkowski odłożył słuchawkę, wziął swój plecak z krzesła i zarzuciwszy na ramię skierował się ku schodom na piętro, gdzie znajdował się wynajęty przez niego pokój. Na odchodnym powiedział do Bukowskiej ziewając przy tym dyskretnie;

— Jeśli żona nie wróci do rana. jutro złączą szukać— Myślę, że nic więcej w tej sprawie dziś zrobić nie możemy. Idę spać, bo jestem porządnie zmęczony, a nic wiadomo, co nam jutro przyniesie. Pani też radzę zrobić to samo. Dobranoc.

— Dobranoc — odmrugnęła patrząc za nim zgorszona. Taki to i mąż. „Mój, żeby tak zginęła, nie kładłby się spokojnie spać. tylko niebo i ziemię by poruszył, żeby mnie znaleźć. A przecież już trzydzieści przeszło lat ze sobą żyjemy...”

XIII

Zegarek wskazywał ósmą rano. Od momentu, gdy znalazła się w tej skalnej pułapce, minęło długie dwadzieścia godzin. Dwadzieścia, a ile jeszcze minie, zanim ją znajdą? Postanowiła, dla zaoszczędzenia nikłego już ogarka świecy, iść znanym dość już dobrze fragmentem korytarza, przyświecając sobie od czasu do czasu tylko zapalniczką. Zdawała sobie dobrze sprawę— że gdy zabraknie jej tych świeczek, będzie całkowicie bezradna i zdana jedynie na męki oczekiwania. Było jej teraz ciągle zimno, a w dodatku zaczął dokuczać głód. Aby oszukać żołądek, ułamała kawałek czekolady i włożywszy go do ust ssła powoli, aby jak najdłużej stwarzać pozory jedzenia. Skończywszy z czekoladą zapaliła papierosa, ostatniego z paczki. Teraz pozostała jej już tylko jedna, jedyna paczka papierosów. Postanowiła, że będzie oszczędzać, palić nie więcej

niż jednego papierosa na dwie godziny. Odliczając sen, powinno jej tej paczki wystarczyć od biedy na trzy doby. Nie sądziła oczywiście, aby jeszcze tak długo miała tu pozostać, ale lepiej nastawić się na najgorsze.

Jeszcze nadal była w nie najgorszym usposobieniu. Była aktywna, nie rezygnowała z walki o wydobyć się stąd samodzielnie. Wierzyła ponadto, że jeśli nawet sama nie zdoła się uwolnić, dziś lub jutro znajdą ją na pewno.

Zrobiła kilka energicznych przysiadów, aby przyspieszyć krążenie krwi i rozgrzać się nieco. Następnie, zacisnąwszy w lewej ręce ogarek świeczki, a w prawej zapalniczkę, błyskając co jakiś czas jej płomykiem ruszyła znowu w stronę tej nieszczęsnej szczeliny, postanowiła, że teraz już nieodwołalnie będzie się starała ją sforsować.

Zatrzymała się nad brzegiem maleńkiego jeziora, właściwie kałuży. Zapaliła ogarek świeczki, schowała zapalniczkę do kieszonki bluzy i przyklekawszy zaczęła powoli wślizgiwać się do wnętrza szczeliny. Opierając się na wolnej ręce wciskała się coraz głębiej w szczelinę. Już, już, górną połową była po drugiej stronie i chciała się rozglądać— gdy nieopatrznie wypuściła z grabiejących palców ogarek świeczki, który z cichutkim syknięciem pogrzyżył się w wodzie. Ogarnęły ją nieprzeniknione ciemności. To nagle przejście od światła w ciemność i utrata świeczki tak ją zdeprymowały, że czyniąc rozpaczliwe wysiłki wypełzła z powrotem ze szczeliny, mocząc się przy tym obficie w wodzie.

Dygotała cała ze zdenerwowania i zimna, bo woda w jezioru do najcieplejszych nie należała. Nie wpłynęło to wszystko pozytywnie na jej samopoczucie. Wręcz przeciwnie— była całkowicie załamana i niezdolna do powtórzenia swojej próby. Dygocąc i zimna i szczękając zębami pobiegła, przyświecając sobie zapalniczką, z powrotem do skalnej nyży, która obecnie wydawała się jej jedynym bezpiecznym azylem.

Zapaliła przylepiony do skalnego gzymsu ostatni już ogarek świeczki i postanowiła posilić się nieco. Miała jeszcze jedną kanapkę z serem i pół tabliczki czekolady. Przełamała kanapkę na pół, jedną połowę schowała, a drugą zaczęła jeść zagryzając kawałkiem czekolady. Zjadła, popiła wodą z zagłębienia w skale i zapaliła papierosa. Nagle, gdy zaciągała się dymem, przyszła jej do głowy pewna myśl.

— Umrę tu i nawet jeśli mnie w końcu znajdą, nikt nie będzie wiedział, w jaki sposób się tu dostałam — powiedziała do siebie uderzona tą myślą, — Muszę coś zrobić— pozostawić jakąś informację. Tylko jak to zrobić? Nie mam przecież żadnej kartki papieru ani też długopisu. Ale prawda! Mam przecież szminkę do ust! A na skalnej ścianie, tam pod świeczką, można będzie od biedy pisać. To nawet lepiej, bo bardziej się rzuca w oczy.

Zapaliła świeczkę i irzeciego już z rzędu papierosa. Doszła bowiem do wniosku, że teraz, gdy jej siły są już na wyczerpaniu, nie powinna sobie niczego odmawiać. Wydobyła następnie z torby szminkę i maksymalnie wysunawszy ją z oprawki zaczęła przy drgającym świetle świeczki pisać na ścianie jaskini.

Szło jej to pisanie niesporo. Ściana ociekała wodą i szminka nie bardzo chciała się jej trzymać. Mimo tych trudności mozolnie, litera po literze, pisała to swoje rozpaczliwe posianie. Prawie kończyła już pisać, kiedy świeczka zamigotała, strzeliła w górę ostrzegawczo płomykiem i z cichym syczeniem zgasła. Zapalniczkę schowała do kieszonki. Sięgnęła po zapalniczkę i przyświecając nią sobie, kończyła napis na ścianie. Skończyła i zerknęła na zegarek. Była równo dziewiąta. Zdziwiła się. Czyżby od chwili, gdy ruszyła ku tej nieszczęsnej szczelinie, minęła tylko godzina? Przytknęła zegarek do ucha. Nie chodził. Poruszyła sztyftem do nakręcania. Wyczuła opór. A więc zegarek jest nakręcony i prawdopodobnie stanął, bo zamókł przy forsowaniu tej szczeliny. Tak, teraz już straciła nie tylko światło, ale i kontrolę czasu! Nie miała przecież pojęcia, jak długo

zegarek nie chodzi. Mogła to być godzina, dwie. a może i więcej. Była przecież przez dłuższy czas zaabsorbowana różnorodnymi zajęciami.

Zdenerwowana zapaliła znowu papierosa. Przeliczyła pozostałe. Było ich już tylko piętnaście, piętnaście papierosów, nieco mniej niż pół tabliczki czekolady, pół kanapki i zapalniczka jako jedyne źródło światła — to wszystko, czym obecnie dysponowała. Jej siły i odporność psychiczna były już na wyczerpaniu. Tymczasem chłód znowu zaczął lodowatymi mackami obejmować jej ciało. Poderwała się z miejsca i szcękając zębami, dygocąc na całym ciele, zaczęła znowu swój taniec w miejscu.

XIV

Było zupełnie widno, zbliżała się szósta, kiedy stojący na biurku W dyżurce telefon rozdzwonił się hałaśliwie. Włódkowy poderwał się z półdrzemki, nieprzytomnie rozglądając się wokół i sięgnął po słuchawkę telefonu.

— Słucham. Dyżurny pogotowia górskiego

Włódkowy... A. to pan nacelniku! Dzień dobry... Nie, noc minęła spokojnie. Wiccorem ino bel taki dziwny meldunek, no ze wszycko belo niejasne, wstrzymali my sie do rana... No. przysel tu ku nam Jasiak Kacor i zgłosić), co mu dz.iewcyna na randkie na Ornak nic przyślą. Jacek tu się z niego nawyśmiewol. no ja nie bardzo wim, co o tym myśleć... To my zrazu zrobili. Zadzwonili my do Bukowskiej, bo tam ta zaginiona z mężem mie—skała.. no męża my nic zastali, poseł kajsi na wyciecke, To my poprosili, co jak wróci coby zadzwonił. No i okazało sie, co on nic o ni nie wic. kromie tego. co rano wysła z domu. coby jechać na Ornak... Tak jest... Dobrze, cekamy.

Włódkowy odwrócił się w stronę rozłożonego na wersalce Dylika:

— Schowajze głębi to piwo i nie rozkładaj się

tak. Niedługo będzie tu Radwan. Nacelnik nie lubi, fciuj na dyzuzc ratownik rozwała sie na wersalce i piwko popija,

Jacek dźwignął się ze swego legowiska, wepchnął głębiej pod wersalkę pozostałą jeszcze po nocy butelkę piwa. puste upchnął w kąt. ogarnął się trochę i zapaliwszy papierosa przysiadł obok Włódkowego. na drugim fotelu stojącym przy biurku.

Nic minęło nawet pół godziny, kiedy do dyżurki wszedł Radwan, nacelnik Grupy Tatrzańskiej GO-PR. Przywitał się z obydwoma krótkim skinieniem głowy i od razu przystąpił do rzeczy.

— No. mówcie, Włódkowy, co się tam takiego wydarzyło. Przez telefon nie bardzo mogłem wyrozumieć, co i jak.

Włódkowy powoli, starannie dobierając słowa, zrelacjonował Radwanowi wszystko to. co było dotychczas wiadome. Niewiele tego było.

— Coś mi to bardzo mętnie wygląda — zauważy! Radwan, gdy Włodkowy skończył opowiadać. — Na dobrą sprawę nie ma żadnych danych, żeby rozpoczynać poszukiwania. Właściwie nie wiemy, czy w końcu pojechała na Kiry. czy wybrała się gdzie indziej! A może coś jej do głowy strzeliło i pojechała do domu? Macie jej domowy adres? Skąd ona w ogóle do Zakopanego przyjechała?

— Tego nie wiem. bom nie pytol — przyznał Włodkowy. — Nic przysło mi do głowy.

Radwan machnął lekceważąco ręką.

— Drobiazg — powiedział. Dochodzi już

siódma. Na którą umówiliście się z tym jej mężem i z Kaczorem?

Tak koło dziesiątej — oświadczył Włodkowy. — Ściśle godziny my nie ustalali.

Dobrze. Idę teraz do siebie popracować. Jak przyjdą, zawołajcie mnie do dyżurki. Będę chciał z nimi obydwoma pogadać.

Po wyjściu Radwana Dyiik wydobyl z za wersalki osłaniając butelkę piwa. odbił kapsel, przyłożył do ust i pociągnawszy Łęgi łyk podał Włodko—wemu ze słowami:

— No to. Józku, za tę dziwną akcję. Żeby się w ogóle nie odbyła.

Ledwie zdążyli odstawić butelkę, gdy do dyżurki znowu zaglądnął Radwan.

Podzwoncie po ratownikach — powiedział i zaproszcie, kogo zastaniecie, na dziesiątą. Niech się stawią w pogotowiu, lepiej ich na wszelki wypadek mieć pod ręką. Poza tym. jak już załatwicie z ratownikami, podzwoncie po schroniskach, czy gdzie się na noc nie zatrzymała. Nie musiała przecież wcale iść na Ornak. Mogło jej coś odbić i poszła gdzie indziej. I jeszcze jedno Jak przyjdzie tu Borkowski albo Kaczor, przyslijcie go do mnie. Wolę. aby na razie się ze «003 nie stykali. No, chyba żeby obaj naraz przyszli.,.

Włodkowy nie mówiąc ani słowa przystąpił z miejsca do wydzwaniania ratowników, zaś Radwan cicho zamknawszy za sobą drzwi dyżurki udał się z powrotem do swego pokoju.

XV

Kaczor przyszedł parę minut po dziewiątej. W łódka wy. nie wdając się z nim w dłuższe rozmowy, natychmiast odesłał go do pokoju naczelnika. W niecałe pół godziny później w pokoju dyżurnych zjawił się Borkowski i już od progu zaczął pytać:

— Nic panom nic wiadomo w sprawie mojej żony?

Włodkowy wzruszył ramionami:

— Tu nie wróżka, ino pogotowie — powiedział nieco ironicznym tonem i dodał: — To przecie od pa-
na spodziewamy się jakichś wskazań, bob) my mogli zacać sukać.

— Ja rozumiem, że głupio zapytałem — zaczął sumitować się Borkowski nieśmiało — ale rozumiecie, panowie... jestem coraz bardziej niespokojny o losy żony. Wczoraj zlekceważyłem całą sprawę, ale dziś coraz bardziej skłaniam się ku przypuszczeniu, że uległa jakiemuś wypadkowi lub zszedłszy ze szlaku zabłądziła.

Wypadek rzecz ludzka burknął leżący na wersalce Dylik ale to zabłądzenie to, wybaczcicie, czysta fantazja. Depiak w Kościeliskiej ma się tak do prawdziwych gór. Jak mały domowy kotek do bengalskiego tygrysa. Gdzie i jak w tej dolinie można zabłądzić?

— Ja iż myślałem, co zabłądzić, na pewno nie zabłądziła — przytwierdził Włodkowy. — Jeczli nie wróciła i nie nocowała w żadnym schronisku, a to my przecie sprawdzali, jest ino jedna możliwość; co pojechała do domu. No jeśli jej i tam ni ma, pozostaje ino jakiś wypadek.

— Tak. koniecznie trzeba sprawdzić, czy przypadkiem nic wróciła po prostu do siebie, do domu — odezwał się od drzwi Radwan. Nawet nie zauważyli, kiedy wszedł do pokoju. — Proszę podać nam adres, panie Borkowski. Sprawdzimy i tę możliwość.

Borkowski bez ociągania podał żądany adres i Włodkowy natychmiast zadzwonił na komendę MO z prośbą o sprawdzenie, czy taka osoba nie znajduje się przypadkiem u siebie w domu—

— Obiecali, co za godzinę, najdali dwie. będziemy wiedzieli — powiedział Włodkowy odkładając słuchawkę.

Rzeczywiście, nie wybiła jeszcze dwunasta, gdy z komendy pizeielefonowano. że Borkowska nic pojawiła się w swoim mieszkaniu.

W tej sytuacji Radwan zdecydował o rozpoczęciu akcji ratowniczej. Do Kir udała się samochodami pogotowia licząca dwadzieścia osób grupa ratowników, która podzielona na dwie ekipy miała przetrząsnąć całe otoczenie Doliny Kościeliskiej. Jedną z tych grup kierować miał Jacek Dylík. Poszukiwania rozpoczęły się dokładnie o godzinie trzynastej:

XVI

W ciągu dwa dni trwających poszukiwali zagłębili pod każdy niemal krzaczek i kamień, spenetrowali każdą z bocznych dolinek. Zajrzeli również do ogólnie uczęszczanych jaskiń: Mylnej i Raptawickiej. Sprawdzili nawet niektóre dziury na stokach Wąwozu Kraków, który przebadano na całej jego dostępnej dla turystów długości. Niestety, nie natrafiono na najmniejszy nawet ślad zaginionej.

Teraz właśnie, zmordowani wielogodzinnymi poszukiwaniami, ratownicy z grupy kierowanej przez Dylíka, po zejściu spod urwisk „Organów”, rozsiedli się na trawie rozległej Hali Pisanej, by nieco odpocząć.

— Do dupy taka zabawa! — zawyrokował Dylík przepłukawszy zaschnięte gardło potężnym łykiem piwa, którego kilka butelek włożył przezornie do plecaka. Chodzisz, depcesz niuchasz i gówno z tego wychodzi. Ogrodziłbym, odrutował całe Tatry i tylko za przepustkami wpuszczał, a i to wyłącznie takich, co po nich chodzić umieją.

— Iii, taternicy tyz umiejom zaprać się, ze hej. Nieroz napocić trza się dobrze, poka ich wydlubies — zauważył sarkastycznie jeden z ratowników, znany muzykant z Kościelisk. Sobek.

— Pewnie, że tak — zachną! się Dylík — ale zawsze wiesz, gdzie ich szukać. Trudne bywają po naszych akcje, ale wiadomo, gdzie, co i jak— A lu...

— Ano, juz taka nasa ratownicka dola — zauważył filozoficznie inny ratownik, starszy już wiekiem gorał z blachą przewodniczką na mocno wylanym, czerwonym swetrze. — Nikto nom nie kazoł tyn krzyżyk przypinać.

— Nie kazał, nie kazał — burczał Dylík. — Pewnie, że nie. ale szlag człowieka trafia, kiedy patrzy na te bezmyślną stonkę. W pieprzy się taki diabli wiedzą gdzie, a ty potem szukaj wialni w polu.

—Kiej by ich nie było — skomentował Sobek — to i nos nic bełoby potrza. Ni ma co mądrować. Trza sukać i basia.

— Że trzeba, to każdy z nas wie — zakonkludował Dylík. — A jak wic. to. kurwa, wstawać, koniec od-poczynku!

Podnieśli się ciężko z murawy i ruszyli dalej. Postanowili spenetrować leraz część polany rozpościerającej się po zachodniej stronie potoku, u stóp skalnego muru Kominków Tylkowych. Tam jeszcze nie szukali.

— Cekoście! Cosik tam widzem w kosówce! —zawołał nagle jeden z ratowników i skierował się szybko w stronę dużej kępy kosodrzewiny.

Wrócił po kilku minutach z mocno niewyraźną miną. Dylík popatrzył na niego i odezwał się szyderczo:

— Świeże było, czy już wyschnięte? Zagadnięty nic na to nie odpowiedział, tylko kłąć zaczął długo i wymyślnie.

Ruszyli dalej, coraz bardziej zmęczeni i rozdrażnieni, coraz bardziej skorzy do sprzeczki o byle co. Już mieli zawracać z powrotem do szerokiego traktu, biegnącego dnem doliny, kiedy któryś z ratowników znowu coś wypatrzył! iym razem na zboczu, tuż. tuż pod urwistymi ścianami Kominiarskiej Grani. Popatrzyli wszyscy w tamtą stronę. Rzeczywiście, wśród traw i krzewów widniał jakiś duży przedmiot o jaskrawopomarańczowej barwie. Ruszyli szybko w łamią stronę. Kiedy podeszli zupełnie blisko, okazało się. że jest to plecak zaplątany w kosówki. Dylík zbliżył się i wyciągnął go z gęstwiny. Był ciężki, czymś wypchany. Dylík jednym szarpnięciem otworzył go i wtedy na trawę wysypywać się zaczęły haki. karabinki i inny taternicki sprzęt.

— Widzi mi się. co spadło to jakiejści wyprawie— mruknął Sobek — i to niedawno. No, przynajmi nie darmo my chodzili. Cosik taki naśli.

— Trzeba będzie zabrać ten plecak i jak wrócimy, sprawdzić, jakie grupy szły ostatnio do jaskiń w Kominiarskim — zadecydował Dylík pakując z powrotem sprzęt do plecaka i zawiązując go starannie. — Nielatwo dziś o sprzęt. Trzeba odszukać właściciela i oddać zgubę. Przynajmniej to jedno dobre wyniknie z naszego szlajania. No, wracamy, bo już się wieczór pomału robi.

Wyszli na drogę i ruszyli dalej dnem doliny w dół ku Kirom. Byli zmęczeni coraz bardziej i rzeczywiście już prawie zobojętniali na to, co się wokół nich działo. Najwyższa pora, aby wracać, bo ich spostrzegawczość tak była przytępiona, że wątpliwe, iżby coś dostrzec mogli.

Zbliżali się właśnie do bramy Kraszewskiego. Mijając ułożoną z płyt skalnych stromą ścieżkę na stoku Organów, wiodącą do wylotu dostępnej turystycznie Jaskini Mroźnej i wyżej położonej Jaskini Zimnej, Sobek powiedział ot tak sobie, aby gadać, nie bardzo zastanawiając się nad sensem tego, co mówi:

— Może by tak jeszcze zaglądnąć do Zimnej? Z babamy to nigdy przecie nie wiada, co i jak.

Dylik zachnął się niecierpliwie.

— Nic zawracaj dupy! Pleciesz ze zmęczenia, co ci ślina na język przyniesie. Jeszcze tylko by, kurwa, brakowało, żebyśmy się zaczęli po wszystkich jaskiniach szlajać. Ona przecie nawet o istnieniu tej dziury nie miała zielonego pojęcia. No. chodźmy, wszyscy już na pyski zaczynamy padać ze zmęczenia, to nie dziwne, że jeden z drugim bzdury zaczyna pleść.

Wyszli na szeroką przestrzeń Polany Kirowej i już niebawem dotarli do wylotu doliny.

— Wpadniemy do „Harnasia”? — zapytał jeden z ratowników.

— Nie, jedziemy prosto do pogotowia — zdecydował Dylik. Jakbyśmy zaszli do knajpy, to już by nas stamtąd nikt nie wyciągnął. Trzeba zdać sprzęt, złożyć sprawozdanie, a potem — do domu.

Autobus stał na przystanku. Po chwili siedzieli wewnątrz.

Wieczorem cała ekipa ratownicza zebrała się w siedzibie pogotowia, aby omówić dalszy plan działania. Wszyscy byli zmęczeni i zniechęceni. Tego rodzaju zaginięcia zazwyczaj stwarzają ratownikom sytuacje prawie że nierozwiązalne. Nie wiadomo w takich przypadkach, gdzie szukać, trudno też odgadnąć, której takiej osobie wpadło do głowy iść.

— Myślem, co trza by było — odezwał się siary ratownik Malik — ustalić, cy kto widział tom babkie w dolinie i gdzie jom ostatni raz widział.

— Słusznie — poparł go Radwan. — Trzeba koniecznie wziąć od Borkowskiego zdjęcie jego żony i popytać u wylotu Kościeliskiej u strażnika przy bramce i dorożkarzy. Oni najprędzej mogli ją zapamiętać, zwłaszcza że pora była dość wczesna i ludzi nie musiało być za wiele. Wojtek! — zwrócił się do młodego ratownika. — Pobiegnij do Bukowskiej i poproś Borkowskiego o fotografię jego żony.

XVII

Powoli zaczęła zatracać poczucie czasu. Już me wiedziała, czy to dzień, czy noc. Czas przesiał istnieć, złał się w jedno pasmo nieustających ciemności. Narastać w niej zaczęło uczucie lęku. potęgujące się chwilami aż do ataków hysterii. Broniała się przed tym z całych sił. ale jej odporność psychiczna była już na gra-

nicy wyczerpania. Ostatnie niepowodzenia — brak światła, a zwłaszcza stanięcie zegarka — załamały ją całkowicie.

Na domiar złego dawać zaczął o sobie znać brak snu. Wystarczyło teraz, by zatrzymała się na chwilę bez ruchu, a już zapadała w drzemkę. Nawiedzać ją zaczęły halucynacje. Od czasu do czasu wydawało się jej, że oto w ciemności korytarza pojawia się światło i słychać dochodzące stamtąd odgłosy człapiących kroków. Podrywała się wtedy gwałtownie, by biec naprzeciw przybywającym, ale po chwili wszystko cichło, przytomniała i jeszcze bardziej załamana wracała na miejsce, by dalej dreptać tocząc uparty bój ze znużeniem i apatią.

Wyraźnie czuła, że ma gorączkę. Gardło i wargi miała wyschnięte, a język jak drewniany kolek. Co chwila pochylała się nad zagłębieniem w skale wypełnionym wodą, by zwilżyć nieco wargi. Od czasu do czasu łamała kawałek czekolady z tej pół tabliczki, która jej jeszcze pozostała, być ssać powoli i starać się oszukać skręcający wnętrzości głód. Ale nawet łykanie słodkiej mazi przychodziło jej z trudem. Dreszcze wstrząsające jej ciałem nie ustawały teraz nawet w czasie ruchu— Znowu zapaliła papierosa i wtedy dostrzegła z przerażeniem, że płomyk zapalniczki ledwo mignął. Udało się jej jednak jakoś papierosa przypalić. Następna próba skrzesania ognia nie dała już rezultatu.

— Gaz się wyczerpał — wyszeptala z rozpaczą. — Teraz to już naprawdę koniec...

Rzeczywiście, nie miała od tej chwili już ani światła, ani ognia, ani też żywności. Ten ostatni błysk zapalniczki załamał ją ostatecznie. Już się nie broniła. Wypaliła papierosa do końca, ale nie sięgnęła po następnego, by go przypalić od niedopałka. Nie wiedziała, ile czasu minęło od chwili, gdy zgasła ostatnia świeczka. Spać, spać. spać...

Osunęła się na dno jaskini i dygocąc skuliła się, by wykrzesać z siebie chociaż iskierkę ciepła. Z wolna ogarniać ją zaczął sen, z którego nie było już powrotu.

XVIII

Zbliżała się godzina dwudziesta, gdy 12—osobowa grupa krakowskich grotolazów dotarła do wylotu Jaskini Zimnej i zwaliwszy z grzbietów ciężkie, transportowe wory zaczęła przygotowywać się do wejścia do jaskini.

— No, jak dobrze pójdzie — odezwał się przebierając się w kombinezon kierownik tej wyprawy. Sułek — to niedługo zakończymy eksplorację tego nowego ciągu korytarzy

— Uda się na pewno — odezwał się inny z uczestników wyprawy. — Sucho było w ciągu ostatnich dwóch tygodni, poziom wody w jaskini na pewno niezbyt wysoki, nawet jeśli na jaki „syfon” przypadkiem natrafimy, powinien puścić.

Po chwili wszyscy byli gotowi. Zapalili lampy czołowe przytwierdzone do kasków i jeden po drugim znikać zaczęli w otworze jaskini.

XIX

W pokoju dyżurnych pogotowia tłoczno było i gwarno. Uczestnicy pohukiwań zaginionej Ewy Borkowskiej ciągle jeszcze siedzieli i bez końca roztrząsali sprawę tego zagadkowego zaginięcia. Mijała właśnie dwudziesta pierwsza dwadzieścia, gdy telefon na biurku dyżurnego ratownika rozdzwonił się hałaśliwie. Włódkowy sięgnął po słuchawkę, słuchał przez chwilę, coś notował i wreszcie powiedział:

— Dobrze. Zrozumiałem. Czekaćcie na nas przy „Harnasiu”. Niedługo tam będziemy.

Odłożył słuchawkę i zwróciwszy się z poważną miną do obecnych w pokoju powiedział:

— Borkowska najdziona! Našli jom krakowscy grotolazi w Jaskini Zimnej, w Sali pod Progiem. Ciort wie, jako się tam zaprała. To, ze to ona, wiadomo, bo našli jej dokumenty. Mówiom, co nieprzytomna i mało jej brakuje. Trza nam wartko jechać.

Radwan zaczął natychmiast wydawać energiczne rozkazy.

— Przygotować sprzęt i apteczkę! Dwa samochody! Do akcji jadą wszyscy obecni!

Zaczął się ruch. Ratownicy z zapalem zaczęli przygotowywać sprzęt do akcji. O dziwo, jakby poweselieli. Jakby wróciły im humory, a przecież czekała ich w jaskini trudna i nie pozbawiona ryzyka praca. Transport nieprzytomnej, może ciężko rannej kobiety, przez wąskie zaciski korytarzy nie należał wcale do najłatwiejszych. Ale to już było działanie na pewniaka, a nie błądzenie po omacku. Chociażby i najtrudniej, najniebezpieczniej, ale nic w ciemno.

Nikt z nich w tym rozgardiaszu nie spostrzegł, kiedy do pokoju wszedł wysoki, smukły, mocno już szpakowaty mężczyzna o twarzy opalanej na brąz i stanąwszy już przy drzwiach ciekawym wzrokiem lustrował wnętrze. Pierwszy dostrzegł go Radwan.

— Ooo! Adam! — zawołał ucieszony. — Z nieba nam spadasz! Nasz lekarz ma dyżur w szpitalu, a tu mamy wypadek w jaskini, pomoc medyczna na miejscu będzie konieczna. Pójdiesz z nami?

Przybyły uśmiechnął się i powiedział wzruszając lekko ramionami:

— Pytanie retoryczne. Oczywiście, że pójde. A spadam wam wcale nic z nieba, tylko ze Słowacji. Co to za wypadek?

— Dziwny odpowiedział Radwan. — Dwa dni temu zginęła w biały dzień turystka na drodze z Kir do Ornaku. Przed godziną znaleźli ją grotolazi w głębi Jaskini Zimnej skrajnie wyczerpaną i nieprzytomną. To wszystko, co wiemy. Bardziej szczegółowo opowiem ci w czasie drogi. No, ruszajmy.

W piętnaście minut później dwa samochody pogotowia załadowane po brzezi ratownikami i sprzętem ratowniczym ruszyły spod podjazdu „Dworca Tatrzańskiego” i skręciwszy w Kościeliską pognały na maksymalnej szybkości w stronę Kir.

Do Borkowskiej dotarli około dwudziestej trzeciej. Grotołazi starali się tymczasem jak tylko potrafili, aby w jakiś sposób pomóc nieszczęśliwej kobiecie.

Ułożyli ją na posłaniu z plecaków, otulili w śpiwór, ba. nawet usiłowali napoić gorącą herbatą. Niestety odnaleziona nie przyjmowała już ani pokarmów, ani napoju. Sawicki, bo tak właśnie nazywał się przybyły przed wyjazdem na akcję do dyżurki mężczyzna, pochylił się nad nieprzytomną kobietą. Po kilkunastu minutach badań wyprostował się i powiedział zatroskanym tonem:

— Stan prawie beznadziejny. Skrajne wyczerpanie i wychłodzenie organizmu, do tego zaś jeszcze na dokładkę obustronne zapalenie płuc. Cud będzie, jeśli żywa dotrze do szpitala. Transport jednak możecie zaczynać natychmiast. Nie pogorszy jej sianu. Dałem jej kilka zastrzyków, może pozwolą dotrzeć do szpitala. Nic więcej w tych warunkach zrobić dla niej nic jesieni w sianie.

Ratownicy sprawnie upakowali Borkowską w specjalne nosze i niebawem ruszyli z nią ku wyjściu. Sawicki położył rękę na ramieniu stojącego obok niego Radwana i powiedział półgłosem:

— Zostańmy tu chwilę obaj. Coś mi się w tym wszystkim nie podoba. Popatrzmy razem wokoło. Może się coś ciekawego znajdzie?

Radwan bez słowa skinął głową i zwrócił się do jednego z ratowników oczekujących na dyspozycje:

— Słuchaj. Władek! Zawieźcie tę Borkowską do szpitala, a ratowników pod pogotowie. Mogą już iść do domu. My tu z Sawickim trochę zostaniemy. Jak się obrobicie, przyślijcie zaraz jeden wóz po nas.

Ratownicy odeszli, grotołazi ruszyli ponad próg do dalszego ciągu jaskini, a Sawicki z Radwanem zaczęli się rozglądać po komorze, która przez długie trzy dni była więzieniem Borkowskiej. W pewnej chwili Sawicki pochylił się i podniósł coś, co leżało wdeptane w błoto, zalegające dno jaskini.

— Co tam ciekawego znalazłeś? — zapytał Radwan.

— Oprawkę od szminki — odpowiedział Sawicki. — Ponieważ nie sędzę, aby ktokolwiek z grotołazów zabierał do jaskini takie detale, przyjąć należy, że to była jej szminka. Oprawka jest całkiem porysowana i pogięta. Ciekawe, co też ona mogła z nią zrobić?

Radwan popatrzył uważnie wokoło, wodząc strumieniem światła swojej „czołówki” po ścianach jaskini. Nagle światło zamarło w jednym miejscu.

— Popatrz, Adam! — zawołał. — Napis na ścianie! Wygląda, jakby był wykonany właśnie za pomocą szminki!

Zbliżyli się obaj do ściany. Napis wykonany rzeczywiście szminką przedstawiał się, jeśli chodzi o czytelność, rozpaczliwie. Widocznie osoba, która go zostawiła, nie bardzo w tym czasie panowała nad ręką. a poza tym szminka nie chciała się dobrze trzymać mokrej ściany, tak że napis przedstawiał sobą niemalże nierozwiązywalny rebus. Z ogromnym trudem odsylabizowali kilka słów, czytelnych jedynie dlatego, że po „wypisaniu” szminki autorka napisu drapała po ścianie oprawką. Słowa przez nich odczytane układały się w urywek zdania: on... tu zostawił’.

Sawicki popatrzy! przeciągle na Radwana.

— A jednak znaleźliśmy coś ciekawego. Nie omylił mnie mój nos. To jest chyba odpowiedź na moje wątpliwości. Tak, Stefku, to nie był wypadek ani zabłądzenie. To była zbrodnia. Borkowską ktoś tu sprowadził i zostawił celowo.

XXI

Wczesnym rankiem, tak gdzieś około ósmej. Radwan i Sawicki znaleźli się w pokoju dyżurnych. Włódkowy i Dylík mieli dziś swój ostatni dzień dyżuru. Była sobota.

— No i co? Nic ciekawego się nie wydarzyło? — zapytał Radwan.

— Resta nocy była spokojna — odpowiedział Włódkowy. — Tylko ze jakieś dwadzieścia minut temu dzwoniłi ze szpitala. co Borkowska pomarła nie odzyskawszy przytomności.

— Tak przypuszczałem — powiedział Sawicki, — Ona już nam nie powie, jak to było naprawdę. Sami musimy do tego dojść.

— Sądzisz, że trzeba powiadomić prokuratora? — zapyta! Radwan.

— Na pewno — odpowiedział Sawicki. — Tylko że lepiej będzie, jeśli sami do niego pójdziemy.

Dylík popatrzył na nich obydwu zdziwiony i zaskoczony.

— A to co znowu, kurwa, za nowość! —zawołał. — Wykitowała babka, no to co? Zachciało się jej wlazić do dziur na wariata. to i zarobiła, co się jej należało. Znaleźli ją i nasza sprawa czysta. Co ma do tego prokurator?

— A ma, Jacusiu, jeszcze jak ma — powiedział z lekkim przekąsem Sawicki. — Po pierwsze nie sama wlaźła, tylko ktoś ją wprowadził i zostawił. Najistotniejsze wszakże w tym jest to, że mamy do czynienia z niewątpliwym przestępstwem.

— Musiałeś się akurat przywlec — powiedział ponuro Dylík. — Tam gdzie ty się pojawisz, najprostszy górski wypadek zamienia się natychmiast w ponury, kryminalny dramat.

— Skąd wiecie, co ją ktosi osławił w jaskini? — zapytał z zaciekawieniem Włódkowy.

— Próbowwała pisać szminką na ścianie komory. Coś jakby list. Nie bardzo jej to wyszło, ale odczytaliśmy, że ktoś ją tam zostawił. Niestety, nie sposób odczytać, kto.

— O kurwa, ale bandzior! Taką śmierć dla człowieka wymyślić! — powiedział z odrazą w głosie Dylík. — Trzeba skurwla koniecznie znaleźć! Radwan i Sawicki zaczęli zbierać się do wyjścia.

— Nie mówcie na razie nic o tym czegoście się od nas dowiedzieli.

— To jasne! — obruszył się Włodkowy. — Mamy to zdjęcie Borkowskiej, czy będziemy badać na Kirach, czy już po herbacie?

Sawicki uśmiechnął się.

— Nic nie jest po herbacie. Wszystko dopiero się zaczyna. Tylko że nie my będziemy tym dyrygować, a prokurator i milicja. Zdjęcie na pewno się przyda.

— A może je zabierzemy od razu idąc do prokuratora? — zaproponował Radwan. — lepiej mieć pod ręką po co się wracać.

— Słusznie — zgodził się Sawicki. — Bierz zdjęcie i idziemy.

XXII

Prokurator Bareja powitał ich bardzo serdecznie. Znali się chyba od dwunastu lat. ciągle ocierali się o siebie, ale na spotkania bezpośrednie jakoś nie znajdowali okazji. Ucieszył się więc z ich przybycia i wskazując fotele przy małym stoliczku sam otworzył drzwi do sekretariatu i poprosił sekretarkę o przygotowanie dla nich kawy. Wrócił do stolika i siadając w fotelu zapylał ciekawie;

— Cóż takiego was do mnie sprowadza? Czyżby znowu w pięknych górach zagościła zbrodnia?

— Trafił pan w dziesiątkę, prokuratorze — powiedział z lekkim uśmiechem Sawicki. — Właśnie zbrodnia, i to wyjątkowo perfidna.

— Oooo! — zawołał zaciekawiony Bareja. No to mówcie, panowie, co się takiego stało.

Sawicki zwięźle omówił zaistniałe zdarzenia, znalezisko w jaskini i zakończył swoją relację słowami:

— Tak więc wszystko wskazuje na to, że Borkowska została wprowadzona do jaskini przez osobnika dobrze jej znanego, a następnie pod jakimś pretekstem pozostawiona. Plan tej zbrodni musiał być z góry ukartowany.

Bareja zamyślił się na chwilę, coś tam rozważał. wreszcie zabrał głos mówiąc powoli, z zastanowieniem:

— Gdyby kto inny, nie pan, profesorze, przyszedł do mnie z tym pasztetem, zbyłbym go. Wszystko, co pan tu opowiadał, jest bardzo mgliste i na dobrą sprawę nic ma zbyt mocnego punktu wyjścia do wszczęcia oficjalnego śledztwa. Bo przecież ta Borkowska mogła ot tak, przez ciekawość wejść do jaskini i zabłąkać się. napis wykonać mogła jakaś nudząca się grotolazka elegantka znacznie wcześniej i cała sprawa byłaby jeszcze jednym nieszczęśliwym wypadkiem, jakich wiele w górach. Tylko że pan jest fachowcem, a poza tym ma pan intuicję. Chociaż mam wiele wątpliwości, zgadzam się na wdrożenie oficjalnego śledztwa. Mówił pan, że ofiara żyła, gdy ją znaleziono? Znaczy, że po jakimś czasie można będzie ją przesłuchać?

Sawicki pokręcił przecząco głową.

— Niestety, nie — powiedział. ?? Zmarła dziś o świcie nie odzyskawszy przytomności.

— A więc zdani jesteśmy wyłącznie na nikle poszlaki i własne siły. Nie będzie to łatwa sprawa — westchnął Bareja. Czy widział ją ktoś tam, w dolinie?

— Nasze ustalenia tak daleko nie zaszły — wyjaśnił Radwan. Dopiero wczoraj otrzymaliśmy od jej męża zdjęcie i mieliśmy dziś rozpocząć poszukiwania ewentualnych świadków, ale skoro pan, prokuratorze, bierze sprawę w swoje ręce, do pana należy tak decyzja, co dalej, jak i to zdjęcie.

Mówiąc te słowa Radwan wyjął fotografię Borkowskiej i położył ją na stoliku przed Bareją

Bareja wziął fotografię, długo się jej przyglądał, jakby szukając odpowiedzi na dręczące go wątpliwości, wreszcie powiedział:

— Nikłe są nadzieje, aby ktoś ją zapamiętał. Jest sezon, na szlakach, zwłaszcza tych popularnych, tłok. No, ale nic mamy innego wyjścia. Może akurat komuś rzuciła się w oczy.

— Była wczesna pora zauważył Sawicki. — Nie musiało być wtedy zbyt wiele osób. Największe nadzieje wiąże z dorożkarzami, oni z nudów i obowiązku obserwują przechodniów. To przecież ich potencjalni klienci.

Bareja skinął potakująco głową,

— Słusznie. Też głównie na nich liczę. Sporządzę zaraz odpowiednią notatkę, założę teczkę sprawy i już oficjalnie przekażę te poszukiwania i inne wynikające ze sprawy ustalenia porucznikowi Walczakowi. A co pan, profesorze, myśli o tej sprawie? W kim skłonny byłby pan widzieć podejrzanego o tę zbrodnię?

Sawicki wzruszył ramionami.

— Jest dla mnie rzeczą aż nadto oczywistą, że Borkowska sama bez światła i znajomości topografii jaskini tak daleko zajść nie mogła. Zawleczenie jej tam siłą również nie wchodzi w rachubę ze względu na trudności w poruszaniu się korytarzami.

— Zgoda. Ten wywód jest przekonywający — wtrącił Bareja.

— Jedyne, co pozostaje i tłumaczy zaistniałą sytuację w sposób względnie zadowalający, to przyjęcie tezy, że do jaskini wprowadził Borkowską ktoś dobrze jej znany, ktoś, do kogo mogła mieć zaufanie.

— I na to zgoda.

— W tej sytuacji, gdy wiemy jedynie o dwóch osobach — mających bliski kontakt z Borkowską, mam na myśli jej męża i Kaczora, zanim nie natrafimy na kogoś równie blisko z nią związanego, z natury rzeczy podejrzanymi są oni obaj.

— Słusznie. Po takiej samej linii idzie i moje rozumowanie.

— W skierowaniu podejrzeń na tych dwóch utwierdza mnie znaleziony w jaskini napis. Słowa: „on mnie tu zostawi!” wskazują, że po pierwsze ona dobrze tego człowieka знаła, a po drugie, że list pozostawiony na ścianie jaskini miał być wskazówką wystarczającą.

— Taka wskazówka bardziej sugeruje winę Kaczora niż jej męża — zauważył Bareja. — Ale pański wywód jest w pełni logiczny. To już jest punkt wyjścia.

— Lecz to są tylko słabe poszlaki — wtrącił Radwan,

— Słusznie — zgodził się Bareja. — Niemniej mogą być punktem wyjścia. Przesłuchamy Kaczora i Borkowskiego, a potem zaczniemy sprawdzać punkt po punkcie ich prawdomówność i alibi na ten dzień. Tylko w ten sposób można będzie dojść prawdy.

— Ponadto warto sięgnąć głębiej w przeszłość denatki. Czasem coś, co się dzieje aktualnie, ma swoje korzenie w dalekiej przeszłości.

— Nie tylko czasem — potwierdził Bareja. — Prawie zawsze. Oczywiście, że sięgniemy do przeszłości i jej, i ich. Czy zostaje pan w Zakopanem? — zwrócił się z pytaniem do Sawickiego.

— Tak i chętnie włączę się do tego śledztwa, oczywiście w zakresie, jaki pan uzna za właściwy.

— To dobrze — powiedział z widocznym zadowoleniem Bareja. — Miałem właśnie zaproponować panu podobny układ.

— Kiedy ma pan zamiar rozpocząć przesłuchania? — zapytał Sawicki.

— Jeszcze dziś po południu przesłucham obydwu. Proszę pana, profesorze, do mnie na godzinę szesnastą,

— Dobrze. Będę punktualnie. Zaczyna mnie ciekawić ta sprawa.

XXIII

Sawicki zjawił się w gabinecie Barei już za dwadzieścia czwarta. Siedli przy stoliku i przybyły zapytał:

— Wezwał pan podejrzanych? Bareja skinął potakująco głową.

— Tak. Borkowskiego na szesnastą. Kaczora na osiemnastą. Będzie pan mógł tyle czasu poświęcić tej sprawie?

— Oczywiście. Już dziś rano mówiłem panu, że zaczyna mnie ona interesować. Jest w niej coś, co nieczęsto trafia się we współczesnych przestępstwach. Na razie jeszcze nie potrafię tego nazwać, ale wy czuwam.

— Ma pan rację. To będzie rzeczywiście nietuzinkowa sprawa. Na taką w każdym razie się zapowiada.

Wybiła szesnasta. Do pokoju zaglądnęła sekretarka i oznajmiła przez, uchylone drzwi, że przyszedł Borkowski. Bareja polecił wprowadzić go do gabinetu, wstał od stolika i zajął miejsce za biurkiem, zaś Sawicki został na fotelu przy stoliku.

Borkowski wszedł i stanął niezdecydowanie przy drzwiach.

— Proszę, niech pan podejdzie i siada, o tu, na tym krześle naprzeciw mnie — odezwał się Bareja.

Borkowski podszedł i zajął wskazane miejsce.

— Pan Stefan Borkowski? — głos Barci brzmiał sucho, urzędowo. — Wezwałem tu pana celem przesłuchania na okoliczność śmierci pańskiej żony Ewy. Istnieją uzasadnione przypuszczenia, że śmierć ta jest wynikiem przestępstwa. Chciałbym od pana uzyskać kilka wyjaśnień odnośnie tej sprawy.

— Słucham pana. Proszę, niech pan pyta.

— Czy pozwoli pan, że nagram naszą rozmowę?

— Proszę bardzo. Może pan nagrywać — odpowiedział obojętnym tonem Borkowski.

Bareja ustawił na biurku magnetofon, nacisnął przycisk i rozpoczął;

— Jak dawno są państwo małżeństwem?

— Od dwóch lat.

— Jak na tak młode małżeństwo, niezbyt dbał pan o to co robi pańska żona...

— Nie ma w tym nic dziwnego — odpowiedział spokojnie Borkowski. — Nasze małżeństwo było od początku niezbyt udane. Niedawno doszliśmy oboje do wniosku, że nie ma sensu ciągnąć tego dalej i zdecydowaliśmy się na rozwód. Sprawa rozwodowa jest w toku. a my przyjechaliśmy do Zakopanego na swego rodzaju pożegnalne wczasy. Byliśmy już właściwie dwojgiem zupełnie obcych sobie i obojętnych ludzi.

— Tak, to wyjaśnia pańskie zachowanie, pan oczywiście wiedział, że żona flirtuje z Kaczorem i umawia się z nim na spotkania?

— Wiedziałem i było mi to obojętne.

— O tym ostatnim spotkaniu również pan wiedział?

— Oczywiście.

— O której pańska żona wyszła z domu?

— Parę minut po ósmej. Miała około dziewiątej autobus na Kiry.

— A pan o której wyszedł z domu?

— O dziewiątej lub parę minut po dziewiątej.

— I gdzie się pan udał?

— Na małą wycieczkę bez określonego celu.

— A konkretnie — gdzie?

— Górne piętra Małej Łąki. Chciałem zrobić kilka zdjęć.

— Wrócił pan dopiero wieczorem?

— Tak.

— Kiedy dowiedział się pan o zaginięciu żony?

— Po powrocie. Od naszej gospodyni.

— Czy pańska żona kiedykolwiek zdradzała zainteresowanie jaskiniami? — zapytał po chwili milczenia Bareja.

Borkowski zastanawiał się przez moment, jakby szukał w pamięci odpowiedzi na pytanie prokuratora.

— Nie, nigdy — powiedział wreszcie. — Żona zresztą od początku nie przejawiała zainteresowań ani sportem, ani turystyką, zwłaszcza górską. Była delikatna, wrażliwa i niezbyt silnej konstytucji fizycznej.

— Czy chorowała?

— Nie — zaprzeczył Borkowski. — Nie cierpiała na żadną dolegliwość, ale była osobą delikatnej, wątpliwej budowy i nie odznaczała się zbytnią energią.

— Wykluczaliby pan więc wejście z własnej inicjatywy do tej jaskini?

Borkowski znowu zastanawiał się przez chwilę.

— Wydaje się to raczej nieprawdopodobne — powiedział ostrożnie.

Bareja zaciągnął się głęboko papierosem i kontynuował:

— Czy poza Kaczorem pańska żona poznała jeszcze kogoś tu, w Zakopanem? Czy może spotkała jakichś warszawskich znajomych?

Borkowski pokręcił głową.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Co prawda nie składaliśmy sobie dokładnych sprawozdań z tego, co robimy i z kim się spotykamy, ale fakt taki raczej nie dałby się ukryć.

— A więc nic potrafi pan wyjaśnić faktu znalezienia się pańskiej żony w głębi niedostępnej dla turystów jaskini, a nie na Ornaku?

— Niestety, jest to dla mnie absolutną zagadką.

— No cóż, dziękuję panu. Prosiłbym jednak, by pan ze względu na toczące się śledztwo nie wyjeżdżał z Zakopanego bez uprzedniego skontaktowania się ze mną. Jest pan wolny,

Borkowski wyszedł, a Sawicki z Bareja popatrzyli na siebie znacząco.

— Albo Borkowski powiedział nam prawdę i jest czysty jak łza — powiedział z zastanowieniem Sawicki — albo też kłamie. Alibi właściwie nie ma. Niby nie miał żadnego interesu w zgładzeniu własnej żony, lecz nigdy nie wiadomo, jak tam między nimi naprawdę było.

Bareja skrzywił się powątpiewająco.

— Myślę, że ta zbrodnia do niego nie pasuje, Nie widzę żadnego sensownego motywu. Zresztą len, kto wprowadził Borkowską do jaskini, musiał dobrze znać nie tylko ofiarę, ale i samą jaskinię.

— Słusznie — powiedział Sawicki. — Tylko skąd my wiemy, że Borkowski nie posiadał wystarczającego zasobu wiedzy w tej dziedzinie?

— Jak to? — zdziwił się Bareja. — Nie ma przecież żadnych danych, że Borkowski był taternikiem lub grotolazem, a chociażby wytrawnym turystą górskim.

— Nie mamy o nim dotychczas żadnych danych poza jego własnymi wypowiedziami — zareplikował Sawicki. — To właśnie w pierwszym rzędzie powinniśmy sprawdzić.

Bareja przeżuwał coś w myślach, wreszcie odezwał się.

— Wywód słuszny. Zajmiemy się sprawdzeniem Borkowskiego, to oczywiste, ale na razie zaczekajmy, co przyniesie nam przesłuchanie drugiego, a w moim pojęciu pierwszego, koronnego podejrzanego, czyli Kaczora. W jego przypadku znacznie łatwiej znaleźć uzasadnione motywy przestępstwa

— Zobaczmy — powiedział sceptycznym tonem Sawicki. Na razie proponowałbym jednak obydwu podejrzanych traktować na równi.

— Tak, szkoda, że Borkowska nic już nam nie powie — westchnął smętnie Bareja.

— Gdyby mogła powiedzieć — zauważył z przekąsem Sawicki — nie byłoby tej całej sprawy.

Zamilkli. Zapalili papierosy i otoczeni chmurą błękitnego dymu oczekiwali na przybycie Kaczora.

XXIV

Zjawił się w gabinecie prokuratora punktualnie o wyznaczonej godzinie. Usiadł na krześle zajmowanym uprzednio przez Borkowskiego i spokojnie oczekiwał na pytania Barei.

— Panie Kaczor — odezwał się wreszcie Bareja — jak panu zapewne wiadomo, prowadzę śledztwo w sprawie wyjaśnienia okoliczności śmierci Ewy Borkowskiej. Chciałbym w związku z tą sprawą zadać panu kilka pytań.

Kaczor skinął głową.

Rozumiem — powiedział. — Proszę pytać. Bareja zapalił papierosa, zaciągnął się nim głęboko i wypuścił pod sufit wąską stróżkę dymu.

— Od jak dawna znał pan Ewę Borkowską?

— Jutro minie trzy tygodnie — odpowiedział Kaczor. — Poznaliśmy się w „Murowanej Piwnicy”, w pierwszym dniu, a właściwie pierwszej nocy ich pobytu w Zakopanem. Zaprosiłem ją do tańca, potem przysiadłem się do ich stolika i tak to się zaczęło.

— Nawiązał pan z Borkowską flirt — zauważył Bareja. — Czy nie obawiał się pan otwartego konfliktu z jej mężem?

Kaczor wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko.

— Ten flirt polegał na kilku wspólnych wycieczkach w góry i kilku dancingach. Nie powiem, żeby zupełnie platonicznie, ale bez jakiegoś angażowania. A Borkowskiego nie musiałem się obawiać. Jeszcze nas do tych wycieczek zachęcał mówił, że sam nie lubi, a żona nie powinna się nudzić.

— Więc Borkowski nigdy wam w tych wycieczkach nie towarzyszył?

Kaczor zastanawiał się przez chwilę.

— Nie. właściwie nic. tylko na samym początku — ku wybrał się raz z nami przez Strażyską i przełęcz w Grzybowcu na Giewont. Później jednak chodziliśmy na takie wycieczki wyłącznie we dwoje.

— Czy Borkowski znalazł Tatry?

— Trudno wyczuć — powiedział z zastanowieniem Kaczor. — Mówił, że nie interesuje go turystyka górską, ale to przecież nic nie znaczy. Na podstawie moich spostrzeżeń z tej jedynej wycieczki w góry mogę powiedzieć, że chodzi dobrze. Może kiedyś chodził dużo po górach.

— Nie spotkał go pan nigdy tu. w Zakopanem?

— Czasem wydawało mi się, że go już kiedyś spotkałem, ale... nie to chyba tylko złudzenie. Nie. nie widziałem go nigdy przedtem.

— No dobrze. A czy Borkowski wiedział o spotkaniu na Ornaku?

— Oczywiście. Nie kryliśmy się z tym przed nim ani przed kimkolwiek innym.

— O której mieliście się tam spotkać z jego żoną?

— Między dwunastą a pierwszą po południu. Miałem z rana do obsłużenia wycieczkę na Świnice. Jestem. jak pan wie przewodnikiem tatrzańskim i utrzymuję się z tego. Ze względu na spotkanie z Ewą bardzo mi odpowiadała ta krótka wycieczka.

O której wyszedł pan wtedy z domu?

— Przed szóstą. O szóstej przejąłem wycieczkę, dwanaście osób. ruszyłem z nimi do Kuźnic i już o siódmej dwadzieścia jedną z pierwszych kolejek wjechałem z nimi na Kasprowy. Ze Świnicy wróciliśmy o dziesiątej. Wymieniłem się z kolegą. On wziął moją wycieczkę na dół do Zakopanego, ja zaś jego gości schodzących na Kondratową. Rozstałem się z nimi o jedenastej i pospieszyłem wprost na Ornak. Spóźniłem się trochę. Byłem na Ornaku chyba nieco po pierwszej.

— Czemu pan się tak denerwował, stwierdziwszy, że Borkowska nie przysłała na spotkanie? — wtrącił nagle Sawicki. — Przecież logicznie rzecz biorąc nic było żadnych powodów do obawy?

Kaczor milczał przez dłuższą chwilę.

— Widzicie, panowie zaczął wreszcie zacinając się nieco — może to. co teraz powiem zabrzmie głupio i śmiesznie — ale nie tyle się bałem wtedy o nią, co o to, że wysławiła mnie do wiatru i naraziła w oczach wszystkich znajomych na śmieszność. Nie zdarzył mi się jeszcze dotychczas taki przypadek.

— Doskonale pana rozumiem — uśmiechnął się Sawicki. To wyjaśnienie całkowicie mnie zadowala.

Bareja skinął potakująco głową.

— Mnie też, ale interesuje mnie, kiedy naprawdę zaczął się pan o nią obawiać.

Kaczor zastanawiał się przez chwilę.

— Chyba dopiero wtedy, kiedy wieczorem dowiedziałem się, że nie wróciła do domu. Dlatego poszedłem na pogotowie.

— Czy poza panem Borkowska знаła tu jeszcze kogoś?

— Nie, na pewno nie. Cały wolny czas spędzała ze mną lub w domu. Nie miała tu innych znajomych.

Bareja potarł w zamyśleniu czoło.

— To byłoby na dzisiaj wszystko — powiedział. — Dziękuję panu, panie Kaczor, jest pan wolny. Prosiłbym jednak pana, by — gdy będzie pan chciał gdzieś dalej wyjechać — uprzednio powiadomił mnie pan o tym fakcie. Dla dobra śledztwa. Rozumie pan...

— Dobrze— odrzekł na to lakonicznie Kaczor i skłoniwszy się obecnym w pokoju ruszył ku drzwiom. Po chwili nie było po nim nawet śladu.

Bareja popatrzył na Sawickiego.

— No i co pan sądzi po tych dwóch przesłuchaniach?

Sawicki wzruszył ramionami.

— No cóż. nie wniosły one nic szczególnie istotnego — powiedział. — Ogólne moje wrażenie jest takie, że zeznania Kaczora są bardziej wiarygodne niż Borkowskiego. Był on niewątpliwie w swych wypowiedziach bardziej szczery. To się wyczuwało.

— Skłonny byłbym się z panem zgodzić, ale nic uprzedzajmy się z góry do żadnego z nich. Dla zabójcy gra idzie przecież o najwyższą stawkę, o głowę, i on o tym wie. Nie zdradzi się tak łatwo, nic odkryje. A my mamy w rękę zaledwie nędzne poszlaki. Co ja mówię, cienie poszlak!

—Jedno założenie w tej sprawie przyjąć musimy — powiedział Sawicki zdecydowanym tonem. — Ten, kto wprowadził Borkowską do jaskini i tam ją zostawił, był dobrze jej znany, a poza tym musiał być grotołazem lub kimś. kto z racji wykonywanych niegdyś obowiązków musiał znać plany jaskiń tatrzańskich. To kryterium w sposób zasadniczy ogranicza nam krąg podejrzanych. Ten fakt zresztą potwierdziły oba dzisiejsze zeznania.

— Oooo? A w jakim sensie? — zdziwił się Bareja.

— Obaj stwierdzili, że poza Kaczorem Borkowska nikogo tu w Zakopanem nie znała. Czyli że tylko oni dwaj mogą wchodzić w rachubę.

— No tak — mruknął Bareja. Na to wygląda.

— Trzeba koniecznie sprawdzić, i to jak najszybciej, ich alibi na przedpołudnie tego fatalnego dnia — powiedział Sawicki.

— Tak — zgodził się z nim Bareja. — Jeszcze dziś przekażę porucznikowi Walczakowi fotografię Borkowskiej i dane z zeznań obu podejrzanych do sprawdzenia.

— A może byśmy w tym sprawdzaniu sami trochę pomogli?— powiedział Sawicki. — Umówiłem się jutro z Radwanem na Halę Gąsienicową, powspinać się trochę. Radwan jedzie tam wozem, bo chce przy okazji skontrolować dyżurnych ratowników. Może i pan pojedzie z nami? Przy okazji powęszymy trochę...

Bareja rozpromienił się.

— Bardzo chętnie się z wami wybiorę. Wieki już się nie wspinałem. O której jest pan umówiony?

—O siódmej, ale pojedziemy po pana. Niech pan czeka w domu.

Minęła dziesiąta, kiedy Radwan, Sawicki i Bareja podjeżdżali przed wejście schroniska „Murowaniec” na Hali Gąsienicowej. Wysiedli z wozu i weszli do wnętrza. W schronisku było gwarno i tłoczno, jak to zwykle bywa przy niedzieli, a zwłaszcza w pełni letniego sezonu. Skręcili w przedsionku w prawo i weszli do dyżurki GOPR. Na ich widok od stolika podniosło się dwóch młodych mężczyzn, ubranych w służbowe, czerwone swetry ze znakiem błękitnego krzyża na opasce założonej na prawe ramię. Jeden z nich, wysoki, szczupły, o milej, ładnej twarzy, uśmiechnął się i dyskretnie odsunął nieco na bok,

— Wielkie nieba! — zawołał zdziwionym głosem Sawicki. — Toż to przecież Styka we własnej osobie! Pan tu jako dyżurny ratownik? Styka roześmiał się wesoło.

— Już od prawie czterech lat jestem w Klubie Wysokogórskim, a od półtora roku ratownikiem ochotnikiem GOPR—u. Jak pan widzi z mojej awersji do gór nie zostało ani śladu. A ten drugi pan to — jeśli się nie mylę — sam prokurator Bareja?

— Nie myli się pan — powiedział z uśmiechem Bareja. Ja również cieszę się bardzo widząc pana w odmiennych niż przed kilkoma laty warunkach. Zresztą ja też tym razem przyjechałem się po prostu powspinać z Sawickim i Radwanem. A panu szczerze gratuluję pozbycia się niemiłego kompleksu.

Radwan tymczasem zwrócił się do drugiego ratownika. Maćka Romanowskiego.

— Co tu u was ciekawego. Maćku? — zapytał i dodał: — Przywieźliśmy nową książkę wyjść.

Romanowski wzruszył ramionami.

— Nie było co się spieszyć z książką. W starej jest jeszcze z dziesięć wolnych stron. Starczyłoby do końca przyszłego tygodnia.

— Jechaliśmy tu, to przy okazji wziąłem. Lepiej wcześniej wymienić, niż dopuścić do jakiegoś nieszczęścia. Bywało przecież tak.

— Czy dużo osób wspina się na Hali? — zapytał Radwan.

— Sporo, ale same młodziaki — machnął lekceważąco ręką Romanowski i dodał: — Czasem tylko wpadnie tu kłós ze starej gwardii, jak na przykład parę dni temu Mefisto.

— Mefisto? A któż to taki? zaciekawiał się Sawicki.

— A taki tam jeden, dawny grotolaz — powiedział niedbałym tonem Romanowski. — Dzieciakiem prawie byłem, kiedy on się wspinał i po dziurach łąził. Niezły był z niego pistolet.

— A jak on się naprawdę nazywa? — zainteresował się Bareja.

— Nawet nie wiem, ale musi być przecież jego wpis w książce? — powiedział Romanowski i wyszukawszy odpowiednie miejsce w książce wyjść przeczytał: — Anna Łacka i Stefan Gajda. On tu przyszedł do niej w odwiedziny. To była kiedyś jego sympatia, grotolaz, tak jak on. Tydzień temu przyjechała na Halę.

Bareję nagle jakby coś tknęło, popatrzył na Sawickiego, a ten jakby odgadując myśli prokuratora, skinął lekko głową.

— Może nam pan opisać, jak wyglądał ten Gajda? — zapytał Bareja.

— Taki krępy facet średniego wzrostu, około czterdziestki, brunet z dużą „zbójnicką” brodą. Gdyby mi Łącka nie powiedziała kto to., nigdy bym w nim nie poznał dawnego Mefista.

Bareja i Sawicki znowu wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Więc ten Mefisto był aż takim świetnym grotolazem? — wyraził swą wątpliwość Sawicki. — Jakoś nic słyszałem nic o nim.

— Wtedy, kilkanaście lat temu — wyjaśnił Romanowski był on dość popularny w środowisku grotolazów. Miał jednak jakąś niemiłą sprawę, w wyniku której został dyscyplinarnie usunięty z klubu. Od tego czasu nie pokazywał się więcej w Tanach, aż dopiero w ubiegłą środę.

— Czy ta Łącka, koleżanka Mefista. jest jeszcze na Hali? — zapytał Sawicki.

— Tak. na pewno tak — potwierdził bez wahania Romanowski. — Widziałem się z nią dziś przy śniadaniu. Myślę, że jeszcze jest na sali.

— Mógłby pan nas z nią skontaktować? — odezwał się Bareja. — Bardzo chcielibyśmy z nią porozmawiać.

Romanowski skinął potakująco głową

— To się da zrobić — powiedział. — Zaraz pójde na salę i jeśli jeszcze jest. urządzę wam spotkanie.

Romanowski wyszedł z dyżurki, zaś Bareja zwrócił się do Sawickiego.

— Sądzi pan, podobnie jak ja. że to może być on? Rysopis od biedy pasuje, ale co z nazwiskiem? Żebyśmy się tylko sami nie zapędzili w jakiś zaułek bez wyjścia.

Sawicki wzruszył ramionami.

— Musimy zaryzykować. Ja też nic nie jestem wcale pewien, że to właściwy trop. że to w ogóle jakiś trop, ale z drugiej strony my przecież o Borkowskim wiemy tylko to. co sam uznał za właściwe nam powiedzieć. Jeżeli udałoby się dowiedzieć, że posługuje się dwoma nazwiskami, wtedy mamy przeciw niemu mocną poszlakę.

— Nie wiem— Bareja był bardziej sceptyczny niż Sawicki. — Zupełnie nie wiem. o czym my mamy z tą Łącką rozmawiać. Na dobrą sprawę może nas posłać w diabły i w ogóle nie chcieć z nami gadać.

Do dyżurki wszedł Romanowski, prowadząc ze sobą. młodą, najwyżej trzydziestoletnią kobietę.

— To jest właśnie Anna Łącka — powiedział. — Pomyślałem sobie, że znacznie lepiej będzie się wam rozmawiało w dyżurce. My z Rafałem tymczasem posiedzimy sobie na sali.

— Nie musicie wcale wychodzić — stwierdził Bareja.

— Ja tam wolę nie wiedzieć zbyt dużo — oświadczył Romanowski i wzięwszy za ramię Stykę wyszli z dyżurki.

Łącka zwróciła na pozostałych pytające spojrzenie.

— Panowie chcieli ze mną rozmawiać? O co chodzi?

Bareja lekko się zmieszał i nie bardzo wiedział, jak zacząć, jak wybrnąć z dość niezręcznej sytuacji, Wyręczył go Sawicki.

— Nazywam się Sawicki i jestem taternikiem podobnie jak pani, ale również ekspertem kryminalnym. Ten pan to prokurator Bareja z prokuratury zakopiańskiej. Prowadzimy dochodzenie w sprawie tragicznej śmierci turystki Ewy Borkowskiej w jednej z tatrzańskich jaskiń. Może słyszała już pani o tym wypadku?

Łącka wzruszyła ramionami.

— Od chwili przyjazdu nie schodziłam do Zakopanego — powiedziała spokojnie. — Gazet też nie czytuję, więc skąd? Nic, nic mi nie wiadomo o żadnym takim wypadku. A gdzie, jeśli to nie tajemnica, miał on miejsce?

— W Dolinie Kościeliskiej — powiedział Sawicki — w Jaskini Zimnej. Ofiarę znaleziono w Sali pod progiem.

— Tam? — Łącka była zdziwiona i zaskoczona. — W jaki sposób ona mogła się tam dostać? Tam po drodze jest przecież kilka zacisków! Czy miała przynajmniej latarkę?

Sawicki uśmiechnął się z uznaniem.

— Otóż to! — powiedział. — Trafiła pani w dziesiątkę!. My też uważamy, że nie mogła sama się tam dostać. Zresztą mamy dowody na to, że ktoś ją tam celowo wprowadził i zostawił. Właśnie usilnie staramy się ustalić, kim był ten człowiek.

— Rozumiem, że panowie w związku z tym wypadkiem interesują się grotolazami, ale ja już od kilku lat, odkąd urodziłam dziecko, nie chodzę do jaskiń i wyłączyłam się z działalności klubowej. Nie widzę, co bym mogła mieć z tym wspólnego?

—Może nic, a może wiele — odezwał się Bareja. — Czy może znane jest pani nazwisko Borkowski?

Łącka pokręciła przecząco głową.

— Nie, pierwszy raz słyszę — powiedziała zdecydowanym tonem. — Nikogo o takim nazwisku nie znałam i nie znam. Ale zaraz, przecież pan chyba nazwał tym nazwiskiem kobietę — pozostawioną w jaskini?! Co to za kpiny?

—To nie kpiny zaprzeczył Sawicki. — Ewa Borkowska była w Zakopanem na wczasach nie sama tylko z mężem. W krytycznym dniu mąż poszedł na wycieczkę, a ona udała się na Ornak. Niestety, nigdy tam nie doszła, pani przyjaciel. Gajda, z rysopisu podanego przez Romanowskiego przypomina nieco Borkowskiego. To jest sprawa o morderstwo, proszę pani, więc nie czas i pora bawić się w subtelności — Musimy sprawdzić, czy przypadkiem Gajda i Borkowski to niejedna i ta sama osoba. Jak dawno pani zna tego Mefi-sta?

— Myślę, że panowie trafili na niewłaściwy trop — powiedziała. Stefan wspominał mi co prawda, że ożenił się przed dwoma czy trzema laty, ale oboje już mają tego dość i wnieśli zgodnie o rozwód. Nie przypuszczam, aby w tej sytuacji był razem z żoną w Zakopanem.

Sawicki i Bareja wymienili szybkie spojrzenia. Prokurator zapytał powtórnie:

— A więc jak dawno zna pani tego Gajdę? Znam go już przeszło piętnaście lat. Byliśmy w jednym klubie i wspólnie chodziliśmy zazwyczaj na wspinaczki i do jaskiń. Potem przez wicie lal nie widzieliśmy się wcale, aż, dopiero rok temu przypadkowo natknęliśmy się na siebie na ulicy w Warszawie. Odnowiliśmy znajomość i Stefan dzwonił do mnie, do Krakowa, przed trzema tygodniami. Umówiliśmy się z nim na spotkanie tu właśnie, na Hali.

—Tak że pani nic nie wiadomo o tym, co się z nim działo przez te lata? — zapytał Bareja.

— Absolutnie. Nie pytałam, a i on nie zdradzał chęci do zwierzeń. W każdym razie nic mi nie mówił o zmianie nazwiska, no i przecież w książce wyjść figuruje jako Gajda. Chyba jednak panowie się mylą.

— To bardzo możliwe, ale mimo wszystko chcielibyśmy uzyskać w tym względzie całkowitą pewność —, powiedział Bareja. — Czy mogłaby pani na przykład w środę zejść do Zakopanego i wpaść do mnie, do prokuratury, powiedzmy o jedenastej? Postaram się sprowadzić na ten czas Borkowskiego pod pretekstem dodatkowych zeznań i wtedy pani będzie mogła nam powiedzieć, czy to len sam człowiek, czy ktoś zupełnie inny.

— Ta sprawa jest tak niesamowita, że nic mogę panom odmówić. Dobrze, będę w prokuraturze w środę o jedenastej.

— Chciałbym jeszcze wiedzieć — zaczął z wahaniem Bareja jeżeli oczywiście zechce nam to pani powiedzieć, co to była za historia, za którą Gajda został usunięty z klubu? Coś na ten temat wspominał nam Romanowski.

Łącka milczała przez pewien czas. Nie ponaglali jej zdając sobie sprawę, że na pewno niełatwo jej podjąć decyzję.

— To była bardzo przykra i nadal nie do końca zrozumiała dla mnie sprawa — powiedziała wreszcie. — Prowadziliśmy wtedy eksplorację Jaskini Śnieżnej, najgłębszej aktualnie jaskini Tatr. Grupą szturmową tego dnia kierował właśnie Mefisto. W czasie przygotowywania posiłku na biwaku wybuchł „jubel” a od niego zapaliły się śpiwory i inne łachy. Dym szybko zaczął wypełniać dolne partie jaskini. Natychmiast rozpoczęła się ewakuacja znajdujących się na dole grotolazów. Trzeba przyznać, że Mefisto spisywał się dzielnie i dość sprawnie kierował akcją. Po wyjściu wszystkich z jaskini okazało się jednak, że brakuje jednego, Romana Sadowskiego, mojego narzeczonego. Zeszła więc raz jeszcze grupa ratowników w maskach i z aparatami tlenowymi, ale na wszelką pomoc było już za późno. Roman nie żył. Ponieważ Mefisto nieraz deklarował mi swoje uczucia, a Romana darzył żywiołową niechęcią — pełna rozpacz oskarżyłam go o świadome pozostawienie Romana w jaskini. Kierujący akcją ratowniczą goprowiec również uważał, że Mefisto jeżeli nie z premedytacją pozostawił kolegę, to z pewnością w sposób poważny zaniedbał swoje obowiązki. Jego zachowanie mogło co prawda sugerować, że dostrzegł on nieobecność Romana... Jak tam naprawdę było — do dziś nikt nie wie. Na podstawie danych pogotowia, zeznań uczestników, a przede wszystkim raportu i późniejszych zeznań kierownika ekipy ratowniczej Komisja Dyscyplinarna Klubu Wysokogórskiego wykluczyła Gajdę z organizacji. To właściwie wszystko.

— Pamięta pani, jak nazywał się ten goprowiec? — zapytał Bareja. — No ten kierownik grupy ratowniczej?

Zarówno Bareja, jak i Sawicki na moment wstrzymali oddech, czekając na odpowiedź Łąckiej.

— Oczywiście, że pamiętam — powiedziała spokojnie. — To był Kaczor. Jan Kaczor. Teraz jest przewodnikiem tatrzańskim. Widziałam się z nim niedawno.

— Niech mi pani teraz odpowie na jedno pytanie — zaczął mówić gorączkowo Bareja. — Tylko niech się pani dobrze zastanowi, zanim na nie odnowie.

— Słucham pana powiedziała nieco zdziwiona Łącka.

— Niech pani mi powie, czy Kaczor, gdyby tu, w Zakopanem, obecnie spotkał Gajdę, rozpoznałby go?

Łącka zastanawiała się czas jakiś.

— To nie jest wykluczone — powiedziała wreszcie. — Nie widział go dawno, przeszło dziesięć lat, to prawda. Nie przyjaźnił się z nim, ale znał go tak, jak się zna wszystkich chodzących po Tatrach taterników i grotołazów. Jest jednak pewien powód, dla którego mógł lepiej niż innych zapamiętać Gajdę.

— Jakież to powód? — zapytał niecierpliwie Bareja.

— Powód jest następujący — ciągnęła Łącka, — Kaczor prawie nie znał Gajdy, ale za to był serdecznym przyjacielem Romana, tego, który zginął. Kaczor ciężko, nie mniej boleśnie niż ja, przeżywał jego śmierć. Może właśnie dlatego z taką zajadłością nastawał na to, by jak najsurowiej ukarać Gajdę. Myślę, że gdyby się z nim spotkał oko w oko, rozpoznałby go.

Bareja milczał chwilę.

— No tak... Dziękuję pani — powiedział wreszcie. — To, co pani powiedziała, może się nam przydać w śledztwie, i to nawet bardzo. Jeszcze raz przypominam pani o umówionym spotkaniu u mnie w środę.

— Oczywiście. Będę na pewno.

Wyszli ze schroniska i ruszyli ścieżką w stronę Czarnego Stawu— Czas było wreszcie zacząć wspinaczkę, zwłaszcza że zbliżało się już południe.

Godzinę później stali u stóp ściany.

— No i co pan sądzi o tych dzisiejszych rewelacjach? — zapytał Bareja, klarując linę. — Dopasuje się to do naszej szarady?

— Diabli wiedzą — powiedział Sawicki, sortując haki i karabinki potrzebne do wspinaczki. — Kusząca jest hipoteza, że Borkowski i Gajda to jedna i ta sama osoba, ale może to być ktoś zupełnie inny, z Borkowskim i tą sprawą nie mający nic wspólnego. Trzeba by chyba po linii służbowej przeprowadzić wywiad, czy Borkowski zmieniał nazwisko.

— A identyfikacja przez Łącką nie wystarczy? — Bareja ciągle zastanawiał się nad czymś intensywnie. — Sądzę, że wtedy będą już podstawy, by zająć się poważniej Borkowskim. Ja jednak sądzę, że gdy okaże się, że Gajda i Borkowski to ta sama osoba, obciążą to poważnie również Kaczora, może nawet w większym stopniu niż Borkowskiego.

— Jak to? — zdziwił się Sawicki. — Co pan przez to rozumie?

Bareja uśmiechnął się zagadkowo.

— Pamięta pan, jak pytałem Łącką, czy Kaczor mógłby po latach rozpoznać Gajdę? Jeśli okaże się, że Borkowski to Gajda, twierdzenie Kaczora, że nigdy przedtem nie widział Borkowskiego, może okazać się kłamliwe. Ja również, podobnie jak Łącka, nic wierzę, by mogło się zapomnieć kogoś, kogo się bądź kocha, bądź leż serdecznie nienawidzi. Kaczor mógł, poznawszy Gajdę w Borkowskim, w pierwszym odruchu chcieć dokonać na nim zemsty, uwodząc mu żonę. Gdy spostrzegł, że Borkowskiego ani to ziębi, ani grzeje, postanowił rozegrać to inaczej. Był pewny, że w śledztwie prędzej czy później dojdziemy do tego, kim naprawdę był Borkowski, a wtedy wszystkie poszlaki wskażą na niego.

— Pozornie wszystko wygląda logicznie Sawicki mówiąc te słowa tarł w zamyśleniu czoło. — Tylko że i ja, i pan, prokuratorze, znamy od lat Kaczora. Taka perfidna zbrodnia do niego nic pasuje.

Bareja pokiwał głową.

— Panie profesorze, ani pan, ani ja nie jesteśmy w kryminalistyce nowicjuszami. Iluż to na pozór porządnych, godnych szacunku i niewinnie wyglądających ludzi ni z tego ni z owego dopuszczało się zbrodni, o jakie nikt by nie był ich w stanic posadzić? Poświęcić kobietę dla zemsty? To czyn niezwykle cyniczny, ale tu logicznie patrząc, znowu Kaczor bardziej pasuje niż Borkowski. Łatwiej przecież poświęcić cudzą żonę niż własną, z którą — lepiej czy gorzej — coś się tam przeżyło.

— Argumenty pana są mocne, ale mimo wszystko w pełni mnie nie przekonują. Zresztą zostawmy to do jutra. Wrócimy jeszcze do tego tematu Najlepiej chyba będzie z wnioskami poczekać do środy. Wtedy już na pewno będziemy wiedzieli, jak wygląda sprawa z Borkowskim. A teraz już wiążemy się.

Rozpoczęli wspinaczkę. Skala była ciepła, wygrzana w słońcu, szło się więc im lekko i przyjemnie. Bareja, mimo że już przecież nie pierwszej młodości i na ogół pędzący siedzący tryb życia, wspinał się zupełnie poprawnie. Nic więc dziwnego, że skały ubywało im niemal niepostrzeżenie.

Filar Staszła, na który się wybrali, to nie była oczywiście jakaś arcytrudna droga wspinaczkowa, ale efektowna, urozmaicona, zwłaszcza w swej dolnej, urwistej części. Przy suchej skale wspinaczka tym filarem należała niewątpliwie do najprzyjemniejszych w otoczeniu Hali Gąsienicowej. Mimo że wspinali się stosunkowo powolnym zespołem trzyosobowym, już po dwóch godzinach podchodzili pod wierzchołek Zadniego Granatu i po niespełna dwuipółgodzinnej wspinaczce rozwiązywali się na szczycie.

Posiedzieli trochę na wierzchołku, pooglądali rozłączające się przed nimi widoki, wreszcie jednak, aczkolwiek z ociąganiem, zaczęli powoli zbierać się do zejścia. Nic bardzo chciało im się wracać. Ale czas było schodzić. Zwinęli sprzęt, upakowali w plecaki i zielonym szlakiem zeszli do Koziej Dolinki, skąd przez próg Zmarzłego Stawu wiodła ścieżka do schroniska.

Dotarli do „Murowańca” o osiemnastej trzydzieści. W górach już zaczynał się zmierzch. Zebrali resztę rzeczy, pożegnali się z dyżurnymi ratownikami i zajęli miejsca w samochodzie.

— No, panie Rafale — zwrócił się Sawicki do Styki. — Cieszę się bardzo, że pana tu spotkałem, i to w takiej roli. Jak zakończymy naszą sprawę, wpadnę na Halę i wtedy chętnie się z panem powspinam. Będzie pan tu chyba jeszcze?

— Myślę, że tak — odpowiedział wyraźnie zadowolony Styka. — Będę do końca sezonu. Może tylko na jakiś tydzień wpadnę jeszcze do Morskiego Oka. A pan, prokuratorze? Nie wpadłby pan tu jeszcze kiedy? Chętnie zobaczę w panu partnera, a nie stróża prawa.

Bareja skinął głową z aprobatą. ? Z największą przyjemnością. Może nawet w następną niedzielę.

Już mieli ruszać, kiedy nagle w perspektywie drogi jezdnej ukazał się motocykl. Poznali od razu słynnego harleya porucznika Walczaka.

—Co się też takiego wydarzyło, że Walczak aż tu nas szuka?! — zawołał zdziwiony Bareja nie wątpiąc, że do nich właśnie spieszył energiczny porucznik, filar zakopiańskiej służby śledczej.

Po chwili motor zahamował tuż obok ich samochodu. Była to potężna maszyna, doskonała na górskie drogi. Kiedyś, we wczesnych latach powojennych, była to etatowa maszyna amerykańskiej policji. Walczak wyszperał gdzieś len egzemplarz, na głowic stawał, by go odremontować, za to teraz miał się czym pochwalić. Postawił motor na stojaku, zdjął z głowy kask i zbliżył się do zaintrygowanych pasażerów samochodu.

— Ale mnie cholernie wytrzęsło! — powiedział uśmiechając się szeroko. — Mogliby jednak zrobić lepszą drogę. Ochrona przyrody swoją drogą, a resorów też szkoda!

— Czy tylko po to pan tu przyjechał, poruczniku — zauważył zgryźliwie Bareja — żeby podzielić się z nami tymi cennymi uwagami?

Twarz porucznika rozciągnęła się jeszcze bardziej w uśmiechu.

— Skądże znowu, panie prokuratorze — powiedział niewinnym tonem puszczając mimo uszu zgryźliwość Barei. — Dowiedziałem się pewnej rzeczy i doszedłem do wniosku, że należy to wam zaraz przekazać.

— Ja pana, poruczniku, chyba kiedyś zamorduję — zasyczał Bareja. — Żeby chociaż raz udało się panu złożyć meldunek bez tych—pańskich cholernych dygresji!

— Taką już mam skomplikowaną naturę — oświadczył skromnie Walczak. — I w domu, i w szkole też o to mieli do mnie pretensje.

— Już dobrze, poruczniku — powiedział śmiejąc się Sawicki. — Nic brnijmy dalej w te dygresje.

— Ja też tak myślę, ale prokurator nie daje mi dojść do słowa — stwierdził rezolutnie Walczak,

Bareja nic już na to nie powiedział, tylko z całej siły zacisnął szczęki, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Na stoicki spokój Walczaka nie było mocnych

— No więc ni mniej, ni więcej tylko Kaczor łął jak z nut — wypalił wreszcie swoją rewelację Walczak.

— Jak to łął?! — wykrzyknął Bareja. — Nie może się pan wyrażać jaśniej?

— Po prostu łął jak z nut — ciągnął bynajmniej nie speszony tymi połajankami Walczak. — Był z wycieczką na Kasprowym, ale z nią na Świnice wcale nie poszedł. Oddał od razu wycieczkę koledze, a z jego ludźmi ruszył na Kondratową. Okpił nas o trzy godziny i to ho, ho, lekko licząc.

Bareja popatrzył znacząco na Sawickiego.

— No i co pan na to? — zapytał nieco ironicznie. — Ma pan nadał tak poważne zastrzeżenia do mojej koncepcji?

Sawicki w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami.

Silnik warknął niczym rozzłoszczony pies, parsknął spalinami i po chwili samochód ruszył pilotowany przez porucznika na harleyu. Niebawem nawet śladu po nich nie pozostało.

W poniedziałek już od samego rana Bareja tkwił przy swoim biurku, zagrzebany po uszy w aktach. Czuł, że powoli zbliża się do finału tej zagadkowej sprawy, że lada moment może pojawić się ten brakujący element, który pozwoli na ujawnienie rzeczywistego sprawcy. Liczył, że wtedy i dane zebrane wczoraj na Hali Gąsienicowej i inne, którymi dysponuje lub jeszcze dziś będzie dysponował, pozwolą nareszcie zrobić decydujący krok w tej sprawie. Jak na razie prześladował go nieodmiennie pech. Wszystko było pozornie proste, a jednocześnie zagmatwane. Miał masę poszlak, wskazywały one jednak w równym stopniu na Kaczora, jak i na Borkowskiego. Przecież nawet teraz, gdy prawdopodobnie okaże się, że Borkowski to dawny grotołaz Gajda, nie ułatwi to śledztwa, a tylko jeszcze bardziej równo rozłoży podejrzenia na obu delikwentów. Co z tego, że znaleziono Borkowską żywą, kiedy zmarła nie odzyskawszy przytomności? A ten napis? Sam diabeł go nic odczyta!

Uchyliły się drzwi i na progu stanął Sawicki. Bareja spojrział na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Siedli przy stoliku, sekretarka podała im kawę, zapalili i Bareja powiedział zaciągając się głęboko papierosem:

— Ciągłe mi nie daje spokoju ta nasza wczorajsza rozmowa z Łącką. Utwierdzam się coraz bardziej w przekonaniu, że Borkowski i Gajda to jedna i ta sama osoba.

— No, a jeżeli nawet tak jest, co nie jest wykluczone — powiedział sceptycznym tonem Sawicki — to co z tego? To, że po tej swojej aferze w Śnieżnej zmienił nazwisko, wcale by mnie nie zdziwiło, ale co to ma wspólnego z obecną zbrodnią?

— Tak, ma pan rację, ale jeśli okaże się, że to prawda, mamy pewien punkt zaczepienia. Dlaczego użył na Hali dawnego nazwiska?

— Na pewno, jeśli tak by było, znajdzie na to sensowne wyjaśnienie. Dla Łąckiej przecież Borkowski nie istniał, znała tylko Gajdę.

— Też prawda, ale mimo to będziemy mieli podstawy, by baczniej przyjrzeć się Borkowskiemu. Już nie będzie wtedy taki czysty. Ponadto zacznie nam pasować do schematu mordercy. Odpadnie nieznajomość Tatr i jaskiń.

Sawicki pociągnął spory łyk kawy i po chwili namysłu powiedział:

— Oczywiście, że to byłoby już coś. Ale niestety ciągle za mało, żeby postawić go w stan oskarżenia. Mamy na razie zarysowaną sylwetkę mordercy, niestety bez twarzy. Czy Walczak już był u pana? Może nasz dzielny porucznik coś wywęszył?

Bareja ożywił się.

— Nie, jeszcze go na razie nie było. Ja również czekam na niego z niecierpliwością.

— To nie pozostaje nam na razie nic innego, jak czekać cierpliwie na przybycie porucznika — zakonkludował Sawicki, sięgając po następnego papierosa.

Zapadło milczenie. Obaj rozmówcy pograżyli się w myślach. Wreszcie około jedenastej w drzwiach gabinetu pojawił się bardzo zmęczony, ale jak zwykle promiennie uśmiechnięty Walczak. Bareja aż podskoczył w fotelu na jego widok.

— No, macie coś? — zapytał niecierpliwie. Walczak z niezmaconym spokojem zamknął za sobą drzwi, wyciągnął chusteczkę, przetarł nią spocone czoło, zbliżył się do stolika, przyciągnął sobie folel i opadłszy nań z wyraźną ulgą powiedział:

— Ale gorąco! Chyba wszystką wodę z siebie wypociłem.

— Nie interesuje mnie ani pogoda, ani pańskie samopoczucie! — wykrzyknął zniecierpliwionym tonem Bareja. — Mów pan wreszcie. czego nowego się pan dogrzebał?

— Zebrało się tego nawet sporo — odpowiedział zupełnie nic speszony Walczak. — Zaraz wszystko panom dokumentnie wyłożę, tylko trochę odsapnę. Od dwóch dni mam młyn.

— Przepraszam, poruczniku — zmitygował się wreszcie Bareja. — Naskoczyłem na pana jak na szpicca, ale to dlatego, że od samego rana czekamy na pańskie informacje z niecierpliwością.

— Drobiazg — machnął lekceważąco ręką Walczak. — Ja nic z tych obraźliwych. Rozumiem pana zresztą doskonale. Zaczynać od złych czy dobrych wiadomości?

Bareja znowu zachnął się niecierpliwie, ale zaraz roześmiał się rozbrojony stoicyzmem porucznika.

— Zaczynaj pan, od czego chcesz! — zawołał. — Tylko zaczynaj, na miłość boską, człowieku, bo nie długo ja będę zdolny do popelnienia morderstwa i to na osobie urzędowej.

Walczak poprawił się w fotelu, zaciągnął głęboko papierosem, pociągnął łyk kawy, którą tymczasem przyniosła dla niego sekretarka i wypuszczając pod sufit misterne kółko dymu rozpoczął wreszcie:

— Więc zaczynam od tych złych — powiedział. — Z napisem kłapa. Dostarczyliśmy zdjęcia do Krakowa. Niestety, żadną techniką nie się nie dało z tego odczytać. Nawet mniej odszyfrowali niż pan Sawicki z Radwanem wtedy w jaskini.

— Nie jestem tym szczególnie zaskoczony — stwierdził spokojnym tonem Bareja. Nie wiązałem zresztą z tym napisem większych nadziei.

— Znacznie lepiej wygląda za to sprawa na odcinku: czy kioś na Kirach widział Borkowską. Widzieli ją i rozpoznali na zdjęciu zarówno strażnik przy bramie, jak i dorożkarze. Przypomnieli sobie nawet, że się z nią trochę przekomarzali, proponując bezpłatne podwiezienie. Ale na tym ślad się urywa. Ani na trasie, ani też na Hali Pisanej nikt już jej nie widział.

— To dobrze — ucieszył się Bareja — To już jest coś! Należy więc przypuszczać, że zniknięcie Borkowskiej nastąpiło przy ścieżce do Jaskini Zimnej. Tam właśnie musiała ona spotkać tego nie zidentyfikowanego osobnika. Czas wejścia do jaskini można określić zatem dość dokładnie, zawiera się on między godziną dziesiątą trzydzieści a jedenastą. Czy nic tak, profesorze?

— — Tak, to jest prawidłowe wyliczenie — potwierdził Sawicki.

— Drugim sukcesem, jaki mogłem zanotować, było sprawdzenie alibi Kaczora. Ale to już wam wczoraj przekazałem.

— Tak, to była naprawdę ważna informacja — powiedział Bareja. — Czy teraz czas, jakim dysponował Kaczor, pozwala mu na swobodne dojście do jaskini w Kościeliskiej, wprowadzenie tam Borkowskiej i udanie się górami do schroniska na Ornaku? Skoro wiemy, że dotarł tam o trzynastej czy też nieco później zwrócił się z tym pytaniem do Sawickiego.

— Oczywiście — odpowiedział Sawicki. — Mógł się w takim czasie zmieścić. Z Kasprowego do Kościeliskiej w dobrym tempie starczyło mu trzy godziny. Na Ornak przez Twardy Uplaz dwie. Tak, mógł się zmieścić.

Bareja z zadowoleniem zatarł ręce.

— No, to Kaczora mamy na widelcu! — zawołał. — Jeszcze dziś wydam nakaz zatrzymania go w areszcie śledczym. Coraz bardziej nabierać zaczyna rumieńców moja wczorajsza koncepcja. Ma pan jeszcze, poruczniku, coś w zanadrzu?

Walczak uśmiechnął się pogodnie.

— Mam jeszcze do przekazania wyniki sekcji zwłok. Otrzymaliśmy je dzisiaj poranną pocztą. Sawicki poruszył się gwałtownie.

— Świetnie! — zawołał. — Ciekawe, co też wydłubali lekarze? Może wreszcie natrafimy na dobry ślad?

— Eee — burknął lekceważąco Bareja. — Co oni takiego rewelacyjnego mogli znaleźć? Wiemy i bez nich. Dlaczego umarła.

Walczak nic nie mówiąc uśmiechał się tylko zagadkowo.

Sawicki zaś zachnąwszy się lekko powiedział biorąc dużą urzędową kopertę do ręki.

— Na pana miejscu byłbym ostrożniejszy w formułowaniu wniosków. Pozwoli pan, że przejrzę tę ekspertyzę?

Bareja przyzwalającą skinął głową.

— Proszę bardzo. Jest pan lekarzem i ekspertem kryminalnym, może pan wyczyta tam coś ciekawego.

Sawicki otworzył kopertę, wydobyl z niej kilka kartek maszynopisu i zagłębił się w ich lekturze. Bareja i Walczak przerwali rozmowę i w milczeniu czekali wstrzymując nawet oddech. Po chwili Sawicki odłożył kartki na stolik, sięgnął po papierosa, zapalił i zaciągając się dymem powiedział z triumfującą miną:

— A więc jednak nie myliłem się. Jest nareszcie coś konkretnego! I to na miarę dobrego motywu.

— Co? Co takiego? — dopytywał się niecierpliwie Bareja.

— Borkowska była w trzecim miesiącu ciąży — oznajmił Sawicki lakonicznie.

— Eee! — Bareja był wyraźnie zawiedziony. Co to nam daje poza dodatkowym elementem obciążającym zabójcę?

— O ile dobrze pamiętam — głos Sawickiego pobrzmiwał leciutką nutką ironii — chciał pan znaleźć motyw, który obciążałby jedynie jednego z podejrzanych. Ma go więc pan.

— Jak to? — zapytał zaskoczony Bareja.

— Pamięta pan, że Borkowscy mieli sprawę rozwodową w toku? Podobno wszystko szło jak po maśle, ale tak mówił Borkowski. Należy sprawdzić, czy przypadkiem ta ciąża nie spowodowała pewnych perturbacji. Wtedy chęć pozbycia się żony byłaby mocnym motywem.

— Niezupełnie — zaoponował Bareja. — Ten motyw można również przyjąć w stosunku do Kaczora. Jemu bardziej mogła nic pasować ciężarna kochanka. A jeśli jeszcze próbowała go szantażować...

— Fantazja też musi mieć swoje granice! — zniecierpliwiony Sawicki przerwał mu w pół zdania. — Kaczor znał Borkowską trzy tygodnie i chociażby najbardziej się starał od pierwszego dnia ich znajomości, ciąży trzymiesięcznej nie byłby w stanie spowodować.

— Ja nie mówię, że on — bronił się Bareja. Ale ona mogła go szantażować.

— Bzdury! — zawyrokował Sawicki. — To nie szesnastolatek. Wmówi pan takie coś trzydziestoletniemu mężczyźnie?

— No dobrze, więc co pan proponuje? Ja mimo wszystko, tak czy tak. дам санкcję dla Kaczora — powiedział Bareja.

— Nie zgłaszam w stosunku do tej decyzji żadnych sprzeciwów — powiedział Sawicki spokojnie. Uważam jednak, że w świetle niezbyt jasnych jeszcze co prawda poszlak należy dokładniej zająć się Borkowskim. Trzeba nieco włąbić się w jego przeszłość, a przede wszystkim ustalić, jak to było naprawdę ze sprawą rozwodową.

— To może zamknąć i Borkowskiego? — wtrącił Walczak.

— A na jakich podstawach oprze pan taką decyzję? że zrobił Borkowskiej dziecko będąc jej mężem? Może się nam facet nawet nie podobać, ale nie mamy na niego nic konkretnego — naskoczył na niego z pasją Bareja,

— Oczywiście, że zamykać nie należy — włączył się Sawicki ale dobrze będzie, jeśli pan. poruczniku, zdobędzie jego fotografię i zrobi wywiad wśród zakopiańskich taksówkarzy.

Bareja popatrzył na Sawickiego uważnie.

— To mi nie przyszło do głowy — powiedział. — Tak. tylko w ten sposób Borkowski mógł — wyszedłszy prawie godzinę po żonie — znaleźć się przed nią w Dolinie Kościeliskiej. Niech pan to rozpracuje, i to na wczoraj. Liczę na pana operatywność, poruczniku.

Walczak zastanawiał się przez chwilę.

— Ten wywiad u taksówkarzy to proste, załatwię to do środy. Zresztą mam już jego fotografię. Zrobiliśmy ją na wszelki wypadek, żeby przy okazji sprawdzania, kto widział Borkowską, sprawdzić, czy nie widziano w okolicy jej męża.

— Brawo, poruczniku! — zawołał Sawicki. — Świetnie się z panem współpracuje.

— Gorzej będzie z tą drugą sprawą, z rozpoznaniem, jak przebiegała sprawa rozwodowa Borkowskich. Warszawa to nie mój rejon i nic przyspieszyć nie zdołam. Chyba żeby sam pojechał i osobiście...

— W porządku, kolego — przerwał mu Bareja. — Zaraz to załatwię z komendantem i jeszcze dziś wieczór pojedziecie. Na środę chcę mieć wszelkie dane.

— No, to gra! — mruknął z zadowoleniem Walczak. — Kiedy przyskrzyniamy Kaczora?

— Zaraz! Proszę przykazać swoim podwładnym jak najszybsze odszukanie Kaczora i doprowadzenie go tu do prokuratury. Chcę jeszcze przed osadzeniem go w areszcie porozmawiać z nim. no i wolę sam zakomunikować mu decyzję osadzenia w areszcie śledczym. Czy pan. profesorze, zostanie do czasu przesłuchania Kaczora?

Sawicki w odpowiedzi skrzywił się tylko i przecząco pokręcił głową.

— Nie widzę żadnej potrzeby. Zresztą zaplanowałem na dzisiaj, a być może i na jutro, taką małą prywatną akcję. Nie wiem. ile czasu mi to zajmie, więc już z góry umówmy się na środę, na godzinę dziewiątą. Dobrze? Będziemy wtedy mieli dość czasu, by przeanalizować wszystkie dane i dobrze przygotować się do przesłuchania Borkowskiego.

Bareja aprobująco skinął głową.

— Jak pan uważa. Ja też nie liczę na żadne rewelacje, jeśli chodzi o zeznania Kaczora. Chcę go po prostu jak najszybciej mieć pod kluczem

W trakcie, gdy Bareja z Sawickim wymieniali swoje uwagi. Walczak tkwił przy telefonie. Teraz wyprostował się i powiedział zwracając się do Barei:

— Wszystko gra! Kaczora już szukają i lada moment sprowadzą tu a moje asy ze zdjęciem Borkowskiego też już wyruszają na łowy. Jak tylko dobrze mi pójdzie w Warszawie, będziemy mieli na środę pełny serwis informacji.

Sawicki podniósł się z fotela i skinąwszy głową ruszył ku drzwiom.

—Szczęśliwych łowów — powiedział. — Na mnie już czas.

XXVII

Milicjant wprowadził Kaczora do gabinetu Barei parę minut po czternastej. Prokurator posadził go naprzeciw siebie i rozpoczął suchym, urzędowym tonem:

— Panie Kaczor! Przykro mi tak mówić, ale zawiodłem się na panu. W czasie poprzedniego przesłuchania nie był pan, delikatnie mówiąc, lojalny w stosunku do nas. Niestety, w kilku istotnych szczegółach mijał się pan z prawdą. Pan zdaje sobie sprawę, że toczy się śledztwo w sprawie zabójstwa i takie mylące zeznania bardzo panu mogą zaszkodzić.

— Nie rozumiem — powiedział Kaczor zaskoczony.

—Wyjaśnię panu — Bareja był nadal sztywny i oficjalny. — Mówił nam pan, że owego dnia poprowadził wycieczkę na Świnice i po powrocie na Kasprowy, około godziny dziesiątej, zamienił się pan z kolegą na grupy, on zjechał do Zakopanego, a pan poszedł z jego klientami na Halę Kondratową. Tak?

Kaczor w milczeniu skinął głową.

— Otóż sprawdziliśmy pańskie zeznania i okazały się one nieprawdziwe. Nie był pan wcale na Świnicy, a z klientami kolegi poszedł pan prawie dwie godziny wcześniej. Sprawa dla pana wygląda paskudnie. Te dwie godziny pozwalały panu zupełnie swobodnie zdążyć do Doliny Kościeliskiej, spotkać tam Borkowską, wprowadzić ją do jaskini, a potem pod jakimś pretekstem zostawić

— Nie zrobiłem tego! — wykrzyknął wzburzonym tonem Kaczor.

Bareja uśmiechnął się ironicznie.

— A dlaczego w takim razie ukrył pan przed nami, że już o ósmej wyruszy z pan z Kasprowego? Skąd pan wiedział, że czas pańskiego wyruszenia w stronę Ornaku jest tak ważny dla śledztwa?

— To zupełnie nie tak— powiedział zgnębionym tonem Kaczor. — To po prostu nieporozumienie. Ja rzeczywiście poszedłem z klientami kolegi od razu o ósmej w stronę Kondratowej, ponieważ inaczej trudno by mi było zmieścić się w czasie. A w śledztwie podałem inne dane dlatego, że takie same podaliśmy z kolegą w Izbie Przewodnickiej. Takie zamiany nie są zbyt mile widziane. Nie czując się winnym w tej sprawie chciałem zachować w tajemnicy to służbowe wykroczenie. Sądziłem, że jeśli sprawdzicie w biurze przewodnickim. to gorzej by było. gdyby się te oba oświadczenia nie zgadzały.

Bareja pokiwał głową.

— No. i widzi pan. Być może jest tak. jak pan mówi i jako człowiek skłonny byłbym panu uwierzyć. Niestety, jako prokurator, w dodatku prowadzący sprawę o zabójstwo, nie mogę kierować się sentymentami. Skłamał pan nam raz i nic nie stoi na przeszkodzie, aby pan kłamał dalej. Przestałem po prostu panu wierzyć.

— Kiedy ja naprawdę nic z tym nie mam wspólnego i poza tym jednym szczegółem powiedziałem prawdę! — zawołał zrozpaczony Kaczor.

— Tak pan teraz mówi — głos Barci brzmiał monotonicznie. — Niestety nie wierzę panu i muszę dla dobra śledztwa osadzić pana w areszcie śledczym.

Pan nie ma żadnych podstaw, by oskarżać mnie o spowodowanie śmierci Ewy Borkowskiej! — zawołał Kaczor.

— Ja leż pana o to na razie nic oskarżam — tłumaczył cierpliwie Bareja. Ja pana tylko podejrzewam, a ponieważ pan kłamie, mam prawo osadzić pana w areszcie śledczym nawet do czasu zakończenia śledztwa i z. tego prawa teraz skorzystam.

— Nie martw się pan. panie Janku — zaczął go pocieszać Walczak. — Pomieszkaż pan sobie trochę u nas na Kościuszki, odpoczniesz, Jedzenie u nas skromne, ale wyżyć można, zresztą z domu też na pewno coś panu doniosą. A tymczasem wyjaśni się wszystko i jeśli nie pan ten numer zmalował, wróci pan spokojnie na łono rodziny.

Kaczor był zanadto przygnębiony i zaskoczony decyzją prokuratora, aby zareagować. Siedział przed biurkiem Barei z opuszczoną głową i słowa nie mógł przemówić. Bareja tymczasem szybko wypełnił przygotowany już uprzednio formularz nakazu aresztowania, podpisał go i podając Walczakowi powiedział:

— Odprowadzi pan teraz zatrzymanego do aresztu. Do środy nie ma potrzeby go przesłuchiwać. Niech odpoczywa i przemyśli sobie dobrze całą sprawę i swój w niej udział. Pan zaś. poruczniku, niech się ostro zabiera za sprawdzenie danych, o których mówiliśmy.

Walczak trącił znacząco w ramię Kaczora i powiedział:

— No. idziemy, panie Janku. Nic tu po nas. A za tamte sprawy wezmę się osobiście. Jeszcze dziś jadę do Warszawy.

Nadeszła wreszcie środa. Jeszcze nie wybiła dziewiąta, gdy w gabinecie Barei zjawili się w krótkich odstępach czasu i Sawicki, i Walczak.

— Jak tam pańskie warszawskie sukcesy, poruczniku? — zapytał żartobliwym tonem Bareja. — Dowiedział się pan czegoś ciekawego?

— Wspaniale! — zawołał wesoło Walczak. — Pogoda była doskonała, a jaką cieżę poderwałem!

Bareja groźnie zmarszczył brwi,

— Poruczniku! Nie obchodzą nas na razie pańskie sukcesy natury romantycznej. Może zacząłby pan jednak od spraw służbowych!

— W porządku — powiedział Walczak. — Zaraz przejdę i do spraw służbowych. Już w czasie pobytu w sądach na Lesznie poza nazwiskami adwokatów obojga Borkowskich uzyskałem cenne informacje. Okazuje się, że mniej więcej na tydzień przed wyjazdem Borkowskich do Zakopanego adwokat Ewy Borkowskiej złożył w jej imieniu w sądzie zaświadczenie o ciąży i oświadczenie swojej klientki, że w tej sytuacji na rozwód nie wyraża zgody. Zarówno z zaświadczeniem, jak i oświadczeniem zapoznany został adwokat Borkowskiego. Więc i Borkowski wiedział dobrze, że jego żona jest w ciąży i że na rozwód nie wyraża zgody.

— Miał pan rację — zwrócił się Bareja do Sawickiego. — Ta ciąża okazuje się być rzeczywiście ważną poszlaką. To mógłby być z całą pewnością motyw zbrodni.

Sawicki skinął potakująco głową. — Tak uważałem od początku, czyli od chwili, gdy znalazłem wzmiankę o ciąży Borkowskiej w protokole sekcji zwłok.

— To by znaczyło, że Borkowski swój wyjazd z żoną do Zakopanego zaplanował pod kątem pozbycia się jej — zauważył Walczak.

— Na to by wyglądało — potwierdził Sawicki. — Założyliśmy w początkowej fazie śledztwa, że któryś z tych dwóch dokonał przestępstwa z nie ustalonych pobudek osobistych, starając się jednocześnie stworzyć pozory, że to ten drugi. Ale przecież aby skazać na tak okrutną śmierć drugiego człowieka, trzeba albo bardzo nienawidzić, albo być w jakiejś rozpaczliwej sytuacji, albo też być psychicznie chorym. Ponieważ ani Borkowski, ani Kaczor na psychicznie chorych nie wyglądają, a powodów do wielkiej nienawiści chyba też nic mieli, pozostaje tylko rozpaczliwa sytuacja. Teraz już możemy powiedzieć, co to była za sytuacja. Borkowski inicjuje sprawę rozwodową. Wszystko idzie dobrze, aż tu nagle pojawia się ciąża żony, która stawia natychmiast pod znakiem zapytania pozytywny dla niego wyrok sądu. zwłaszcza że żona teraz już nie zgadza się na rozwód, a być może nawet zaczyna go szantażować. Borkowski postanawia wyjechać z nią do Zakopanego i albo wytargować rozwód, albo po prostu usunąć ją ze swojej drogi. W tym kontekście sprawa z Kaczorem wydaje się wtórna. Poznał go na pewno i postarał się ułatwić flirt licząc, że zdobędzie atuty przeciw żonie, Ale gdy nadarzyła się okazja, wykorzystał ją z zimną krwią. Bareja tarł w zamyśleniu czoło.

— Tak mogło być rzeczywiście — powiedział. — Tylko dlaczego ten Borkowski dążąc do rozwodu Spał z nią i jeszcze w dodatku był na tyle nieostrożny, że zrobił jej dziecko? Przecież zdawał sobie chyba sprawę, że to pomiesza mu szyki.

— A skąd mamy pewność, że to on był sprawcą tej ciąży? Możliwe, że Borkowska utrzymywała stosunki z kimś innym, a z nim prowadziła swoją grę i ciąża była w tej grze istotnym atutem?

— Tak. to możliwe, przy takim układzie może narodzić się zbrodnia. Jest to jednak tylko hipoteza. My mimo wszystko nie mamy na to wystarczających dowodów. Co innego, gdy okaże się, że Gajda i Borkowski to jedna i ta sama osoba.

— To prawda — przyznał Sawicki. — Borkowski to inteligentny człowiek i byle poszlakami złamać się go nie da. Oczywiście że nic będzie łatwo go zaskoczyć i skłonić do przyznania się do winy. Tu trzeba by czegoś, co by nim potężnie wstrząsnęło, wytrąciło z równowagi.

— Słusznie — przytaknął Bareja. — Ja też tak uważam i dlatego wiele obiecuję sobie po obecności pani Łackiej. Ooo. o wilku mowa...

— A cóż to pan sobie takiego po mnie obiecuje? — zapytała z uśmiechem Lacka. — Nie wiem. czy stanę na wysokości zadania.

Bareja poderwał się z miejsca i czyniąc honory gospodarza szerokim gestem zaprosił przybyłą na przystawiony do stolika przez Walczaka fotel. Gdy usiadła, zwięźle poinformował ją o tym, co działo się w ciągu tych dwóch dni od chwili ich rozmowy na Hali Gąsienicowej.

— Teraz kolega Walczak powie nam jeszcze, co zdziałał w sprawie ustalenia alibi Borkowskiego na interesujący nas dzień.

Twarz Walczaka pomroczyła.

— Tu przyznaję się do całkowitej klęski — powiedział. — Przemaglowaliśmy wszystkich taksówkarzy, niestety żaden z nich nie wiozł tego pasażera ani w> interesującym nas dniu. ani w ogóle. Kłops całkowity.

Bareja zabębnił nerwowo palcami po blacie stolika.

— Czyli jednak coraz bardziej uprawdopodobnia się moja wersja winy Kaczora. Nawi jeśli Borkowski okaże się Gajdą, nic sposób ustalić, co robił między godziną dziewiątą i trzynastą. Nic sposób też udowodnić, że mógł zdążyć przed żoną do Doliny Kościeliskiej.

W tym momencie do pokoju zaglądnęła sekretarka.

— Panie prokuratorze— powiedziała — przyszedł jakiś człowiek. Mówi, że jest taksówkarzem i chce się pilnie widzieć z panem lub porucznikiem Walczakiem.

Bareja aż podskoczył na krześle z wrażenia.

— Wprowadzić! — zawołał. — Natychmiast wprowadzić!

Sekretarka wyszła, a po chwili na progu pokoju pojawił się krępy mężczyzna w średnim wieku, o typowo góralskiej twarzy. Stał skromnie przy drzwiach i powiedział:

— Jestem Brniak. Antoni Brniak. Jeżdżę za zmiennika na taryfie szwagra. Tego dnia była moja zmiana. Wiozłem jednego faceta tak koło dziewiątej rano do wylom Doliny Małej Łąki. Pan pytał szwagra, panie poruczniku, a on nic nie wiedział. Jak mnie wieczorem powiedział o tym, to ja zaraz z rana poszedłem na komendę, ale powiedzieli, że pan jest u prokuratora, więc przyszedłem tutaj. Jak macie zdjęcie, to go rozpoznam.

Walczak poderwał się, wy dobył z kieszeni zdjęcie, podszedł do przybysza i podtykając mu je pod nos zapytał:

— Niech się pan przypatrzy. To ten?

Kierowca taksówki tylko rzucił okiem na zdjęcie i z rozjaśnioną twarzą powiedział:

— Tak, panie poruczniku, to na pewno ten.

— Czyli, że mamy ptaszka — zawołał Walczak. — Dziękujemy panu.

Brniak wyszedł, a Sawicki powiedział głosem aż drżącym z emocji:

— To przecież brakujące ogniwo! Przez Przystop Miętusi mógł śmiało w godzinę być u wylotu Zimnej! Zaczekał po prostu przy ścieżce, aż Borkowska dojdzie od przystanku.

— Czyli że można go będzie zapudlić! — zawołał ochoczo Walczak. Mamy wreszcie mordercę.

— Guzik mamy — zareplikował Bareja. — To też jest tylko poszlaka. Tyle że mocna. W każdym razie pan Borkowski łatwo z tego gabinetu nie wyjdzie.

— A co w tak im razie z Kaczorem? — zapytał Sawicki.

Bareja zastanawiał się przez chwilę.

— Nie mam jeszcze na jego temat wyrobionego zdania. Myślę, jednak, że trzeba go tu sprowadzić. Urządzimy taką małą konfrontację.

— To sprowadzić go? ?—— zapytał Walczak.

— Tak, zajmijcie się tym poruczniku— a my tymczasem jeszcze trochę porozmawiamy z panią Łącką.

— Czy zobaczę wreszcie zdjęcie tego Borkowskiego? — odezwała się Łącka.

— Ależ oczywiście! — zawołał Bareja. — Poruczniku, dawajcie to zdjęcie!

Po chwili Łącka trzymała już w ręku fotografię Borkowskiego.

— Tak, to Stefek Gajda. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

— To ja pędzę po Kaczora! — zawołał Walczak i już go nie było.

Bareja kręcił w zamyśleniu w palcach papierosa.

— Co pani teraz o tym wszystkim sądzi? — zapytał po chwili.

Łącka wzruszyła ramionami.

— Sama jeszcze nie wiem — powiedziała. — Wiem tylko, że pomogę panom, na ile mnie będzie tylko siac.

Nawet nie obejrzeni się, kiedy Walczak zdążył wrócić, prowadząc ze sobą Kaczora. Dwie doby spędzone w areszcie odcisnęły na zakopiańskim lowelasie swoje piętno. Był wymięty, nie ogolony, ze smutną, zgaszoną twarzą, bez jego normalnej, pełnej fantazji elegancji. Bez śladu zniknął wesoły, pełen humoru podrywacz.

Bareja zwrócił się do niego wskazując jednocześnie krzesło:

— Staramy się kończyć sprawę i wezwałem tu pana na małą konfrontację.

Łącka zwróciła w stronę Kaczora twarz i powiedziała ciepło;

— Od początku. jak tylko usłyszałam o tej sprawie, nie byłam w stanie uwierzyć, że ty mogłeś popełnić taką zbrodnię.

Kaczor patrzył na nią zdziwiony i zaskoczony.

— A ty co tu robisz. Aniu? Jaki jest twój udział w tej sprawie?

Łącka uśmiechnęła się.

— Pamiętasz Mefista? — odpowiedziała pytaniem na pytanie.

— Oczywiście, że pamiętam powiedział coraz bardziej zdziwiony. Przecież ja byłem koronnym świadkiem w Komisji Dyscyplinarnej. Tylko co to ma do rzeczy?

— A ma — powiedział Bareja. — Borkowski to właśnie Mefisto.

— Co za bzdura! — zachnął się Kaczor. — Mefisto wcale się tak nie nazywał. Nie pamiętam już dokładnie, ale na pewno nie Borkowski.

— Ma pan rację — przyznał Bareja. — Nazywał się Gajda, ale zmienił nazwisko.

— Aniu. czy to prawda? — Kaczor zwrócił pytający wzrok na Łącką.

— Tak. Janku, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

— No, to teraz już wszystko rozumiem — powiedział zgnębionym tonem Kaczor. — Poznał mnie od razu i bawił się ze mną jak kot z myszą. To była jego zemsta za tamte zeznania.

— Może niezupełnie tak — zareplikował Sawicki. — Miało to swoje znaczenie, ale nie tak wielkie. On po prostu chciał za wszelką cenę usunąć swoją żonę.

— Ale dlaczego? — zapyła Łącka.

— Bo kochał naprawdę tylko panią — powiedział twardo Sawicki. — Raz przegrał — ale gdy dowiedział się, że znowu jest pani wolna, postanowił zrobić wszystko, żeby panią zdobyć, nawet za cenę zbrodni.

Zapadło milczenie. Teraz dopiero sprawa Borkowskiej zaczęła się im wszystkim ukazywać we właściwym świetle. Łącka opuściła głowę i o nic już więcej nie pytała.

— A jak panu, profesorze, udało się w tym pana eksperymencie? Zupełnie zapomniałem o tym w nawale zdarzeń — powiedział Bareja.

— Nieźle, nieźle — odpowiedział wymijająco Sawicki. — Czy udał się, zobaczymy w swoim czasie. Myślę, że jeszcze dziś.

Widząc, że Sawicki nie kwapi się do rozwinięcia tematu. Bareja zaniechał dalszych pytań.

Borkowski do prokuratury został doprowadzony dopiero o godzinie czternastej trzydzieści. Był w „Kmicicu”, więc upłynęło trochę czasu, zanim go znaleziono. Wkroczył do pokoju z pewną siebie miną, ale na widok Łąckiej drgnął, a twarz jego przybrała czujny, napięty wyraz. Opanował się jednak szybko.

— Cóż się takiego wydarzyło?! — zawołał. Bareja miał twarz nieruchomą. Tylko lekkie drganie kąci-
ków ust świadczyło o tym, jak wiele kosztuje go ten olimpijski spokój. Wiedział, że aby wygrać w starciu z Borkowskim, musi być Opanowany, nie wolno mu poddawać się emocjom. Patrząc prosto w twarz Borkowskiego wskazał mu gestem krzesło po przeciwnej stronie biurka i dopiero gdy ten zajął wskazane miejsce, powiedział sucho:

— Poleciałem pana do mnie sprowadzić, ponieważ wyszły na jaw okoliczności, które zmuszają mnie do powtórnego przesłuchania pana i to jako osoby podejrzanej o dokonanie z premedytacją morderstwa na osobie swojej żony.

Borkowski lekko zeszywniał, ale nie zmieniając wyrazu twarzy powiedział, świadomie nadając swej wypowiedzi nonszalancki ton:

— Zdążyłem już zauważyć, że pan ma szczególnie bujną wyobraźnię, prokuratorze. By jednak uzasadnić zarzut przeciwko mnie, sama wyobraźnia nie wystarcza, trzeba jeszcze dowodów. Jeżeli je pan ma, możemy na ten temat rozmawiać, jeżeli zaś nie, to szkoda i mojego, i pańskiego czasu.

Sawicki obserwował ten pojedynek z nieskrywanym zainteresowaniem, Podziwiał opanowanie i trzeźwy, logiczny umysł Borkowskiego.

Bareja zacisnął szczęki.

— Składając u nas poprzednie swoje zeznanie — powiedział wreszcie — nie powiedział pan nam prawdy. Właściwie kłamał pan od początku do końca.

— Oooo! zawołał Borkowski. — Czy to aby nie za mocne stwierdzenie? Może pan powiedzieć, jakimi to kłamstwami pana uraczyłem?

Bareja ignorując jego odezwanie mówił dalej;

— Powiedział pan nam, że wyszedł w godzinę po wyjściu żony, ale nic nie wspomniał o tym, że dzięki taksówce znalazł się pan w Dolinie Kościeliskiej wcześniej niż ona.

— O, przepraszam — zaprotestował Borkowski. — Miesza pan prawdę z własną fantazją. Tak nie można. Pojechałem taksówką do wylotu Doliny Małej Łąki, ale to nie ma nic wspólnego z wycieczką mojej żony i nie widziałem powodu, aby pana o tym informować.

— Dlatego, że wtedy natrafilibyśmy na nazwisko Gajda? — zapytał ironicznie Bareja. — Nie chciał pan, byśmy spotkali się z panią Łącką.

Borkowski skrzywił się ironicznie.

— Pan chyba jednak ma wyobraźnię, ale jednostronną. Oczywiście, że kiedyś, przed laty, zmieniłem nazwisko w sposób jak najbardziej legalny. Nie widzę powodu, aby się z tego tłumaczyć. To moja prywatna sprawa, nie mająca nie wspólnego z tą tragedią w jaskini.

— Ale dla zapewnienia sobie alibi użył pan dawnego nazwiska wpisując się do książki wyjść.

— Znowu nagina pan fakty do swoich hipotez — zareplikował z niezmaconym spokojem Borkowski. — Alibi miałbym wtedy, gdybym wpisał do książki wyjść obecne nazwisko. Wpisałem się dawnym nazwiskiem po prostu dlatego, że Anna Łacka nic знаła mnie wtedy pod tym nowym.

Bareja nadal nie reagował, chociaż widać było, z jakim trudem utrzymuje spokój.

— Również o ciąży swojej żony nie powiedział pan ani słowa, a przecież ten fakt poważnie skomplikował przebieg sprawy rozwodowej i chyba to on właśnie stał się przyczyną decyzji pozbycia się żony.

— Znowu ta sama dążność do podporządkowania faktów własnym koncepcjom. Ja wcale nie musiałem informować pana o ciąży mojej żony. Zresztą nie ja byłem jej sprawcą. Od pół roku żyliśmy w faktycznej separacji ze względu na toczącą się sprawę rozwodową. Żona miała już kogoś, niestety nie wiem, kim był ten człowiek. W sobie tylko wiadomych celach wykorzystwała ten atut — chcąc ode mnie wytargować świadczenia alimentacyjne. Nasz wspólny przyjazd tutaj miał być czymś w rodzaju negocjacji na neutralnym gruncie. Wiedziała, że zależy mi na rozwodzie i wykorzystwała to.

— Czyli szantażowała pana? — wtrącił Bareja niby to ze współczuciem.

— To pan powiedział, nie ja — zareplikował Borkowski. Po prostu odchodząc chciała wygrać dla siebie jak najwięcej. Rozumiałem to i rzecz szła jedynie o cenę, jaką skłonny byłbym zapłacić jej za wyrażenie zgody.

— Ponieważ jednak cena była za wysoka, postanowił pan usunąć ją w sposób radykalny — podpowiedział Bareja.

— Sposób pana myślenia to swoista patologia zawodowa. Chciałem być wolny, ale nie za cenę więzienia czy szubienicy.

— Dlatego zrobił pan wszystko, żeby winą za tę zbrodnię obciążyć Kaczora — zauważył z przekąsem Bareja.

— Chyba się jednak pomyliłem — powiedział z ironią Borkowski. — Pan ma raczej mocno ograniczoną wyobraźnię. Oczywiście, że poznałem Kaczora i widząc, że Ewa się nim zainteresowała, nie tylko nie przeszkadzałem, ale wręcz stwarzałem korzystny klimat dla tego flirtu. Mój cel był prosty, chciałem obalić twierdzenie żony, że byłem autorem jej ciąży. W tym układzie jej flirt z Kaczorem był mi jak najbardziej na rękę. Zabójstwo żony niczego mi nie dawało, poza niezbyt przyjemnymi rozmowami z panem.

— Jest jeszcze sprawa sprzed kilkunastu lat, sprawa, w wyniku której zapewne zmienił pan nazwisko. Wtedy też zginął w jaskini człowiek i pan był za to odpowiedzialny.

Borkowski obrzucił prokuratora ironicznym spojrzeniem.

— Tylko w chorej wyobraźni zrutyinizowanego prokuratora czy milicjanta mogą powstać takie skojarzenia. Nic dostrzegłem wtedy, że Roman pozostał na dole. Zarzuty czynić może ten, który nigdy nie był w sytuacji, gdy w ciągu dosłownie minut decydować trzeba o życiu wielu ludzi. Tylko Łacka, której Roman był chłopcem, mogła oskarżać mnie o premedytację bazując na tym, że kochałem ją i chciałem się pozbyć rywala. Komisja ukarała mnie za niedopełnienie obowiązków kierownika, i to surowo. Wyłączyłem się całkowicie ze środowiska i aby odciąć się od przeszłości, zmieniłem nazwisko. Ale dla pana ta tragedia to dowód moich kryminogennych skłonności. Z tym, że to, co pan mi tu przedstawił, to żadne dowody, to tylko poszlaki i pańskie domysły. Może pan oczywiście kazać mnie aresztować, ale nie dam panu szansy, będę się bronił i udowodnię bzdurność pańskich oskarżeń.

Zapadło milczenie. Wszyscy obecni byli pod wrażeniem tego słownego pojedynku, pojedynku, którego ceną miało być dla przegrywającego wieloletnie więzienie lub nawet życie.

Nagle Sawicki podniósł się ze swego fotela i podszedł do biurka.

—Panie Borkowski — powiedział, mocno akcentując słowa — świetnie potrafi się pan bronić, ale niestety ma pan pecha. Widzi pan — zdarzają się takie przypadki, że umarli są w stanic przemówić zza grobu. Taki przypadek ma miejsce właśnie w tej sprawie.

Borkowski przybladł nieco i jakby się speszył.

Opanował się jednak szybko i w milczeniu czekał, co też jeszcze powie na ten temat Sawicki. Wszyscy znajdujący się w pokoju, nie wyłączając Barei, wstrzymali oddech.

— Ponieważ argumenty, jakie panu przedstawił prokurator, uznaje pan za niewystarczające, oddamy głos pana żonie. Jej świadectwu chyba nie ośmieli się pan zaprzeczyć. Proszę pana, panie prokuratorze — zwrócił się do Barci — o zorganizowanie w trybie pilnym wyjazdu do Doliny Kościeliskiej wszystkich tu obecnych i doprowadzenie ich do miejsca, gdzie Ewa Borkowska znalazła śmierć. Tam przedstawię państwu niezbity dowód zbrodni pana Borkowskiego.

— To jakieś bzdury! — wykrzyknął lekko podenerwowany Borkowski. — Ja na taką szarlatanerię nie dam się wziąć!

— Może pan odmówić udania się z nami — zauważył ironicznie Bareja. — Zaczeka pan na nas w areszcie.

— O nie, tej satysfakcji wam nie dam. Sam muszę zobaczyć, co takiego znowu wymyśliliście.

— W takim razie, poruczniku, proszę zatroszczyć się o środki transportu zwrócił się Bareja do Walczaka. — Tylko szybko, bo wieczór już się powoli zbliża.

Walczak wyszedł, aby załatwić samochód, a tymczasem Łacka podeszła do Borkowskiego i patrząc mu w oczy powiedziała:

— Teraz już wtem na pewno, że się nie myliłam. Ty celowo zostawiłeś wtedy Romana, tak jak teraz żonę.

Borkowski nic na to nie odpowiedział.

— Nysa czeka! — zawołał od progu Walczak. — Proszę szanowną wycieczkę do samochodu!

XXX

Była siedemnasta, gdy podjechali do miejsca, skąd stroma ścieżka pięła się urwistym stokiem ku wylotowi Jaskini Zimnej. Ruszyli pojedynczo, za Sawickim do góry. W kilkanaście minut później zebrali się wszyscy w obszernej skalnej nyży, jaką tworzył wylot jaskini.

— W' jakiej kolejności pójdziemy? — zapytał Bareja.

— Ja idę pierwszy — odpowiedział Sawicki. — Za mną pan. potem Kaczor, za nim Borkowski, następnie porucznik Walczak. zaś na końcu pani Lacka.

— To chyba nie wypada — zaprotestował Bareja — żeby kobietę ustawić na szarym końcu.

— Pan zapomina, prokuratorze — powiedziała — że jestem doświadczonym grotolazem. Znam tę jaskinię jak własną kieszeń.

Na taką replikę Bareja tylko w milczeniu skinął głową i ponieważ Sawicki zapaliwszy tatarkę czołową zniknął już w otworze jaskini, ruszył w jego ślady. Za nim poszli pozostali.

W parę minut później wszyscy byli we wnętrzu jaskini tworzącej na tym odcinku kręty, to zwężający się w zaciski, to znowu rozszerzający w obszerne komory korytarz. W niespełna pół godziny od momentu wejścia do jaskini znaleźli się w Sali pod Progiem, stanowiącej cel ich wędrówki.

Gdy zebrali się tam wszyscy. Sawicki ustawił ich pod ścianą w rządek, zaś Borkowskiego wysunął nieco do przodu i stanąwszy obok niego skierował silny strumień światła na przeciwległą ścianę komory skalnej. W świetle reflektora ukazał się oczom zebranych tu osób wykonany jakąś czerwoną farbą czy kredą napis, zamazany miejscami i nieczytelny, ale w niektórych partiach zupełnie wyraźny. Wodząc strumieniem światła od wyrazu do wyrazu Sawicki powiedział, zwracając się do Borkowskiego;

— Ten napis na ścianie zrobiła pańska żona, kiedy straciła już nadzieję, że ktoś ją żywą odnajdzie. Nie ma co do autorstwa tego napisu żadnych wątpliwości. Znaleźliśmy pociętą oprawkę od szminki, którą zrobiła ten napis, tuż obok niej. kiedy wydobywaliśmy ją z jaskini. Wtedy niezbyt starannie przestudiowaliśmy ten napis, zresztą nie bardzo wiedzieliśmy — wypadek to czy zbrodnia. Ja jednak wróciłem tu wczoraj i dokładnie przeanalizowałem ten napis na ścianie. Nie jest on kompletny, nie wszystko da się przeczytać, ale to, co jest czytelne, nie pozostawia wątpliwości co do osoby mordercy. Proszę czytać, panie Borkowski! No, proszę! Poświecę panu!

Mówiąc to Sawicki przyciągnął niemal siłą Borkowskiego tuż do ściany i świecąc latarką wskazywał w milczeniu palcem poszczególne wyrazy tekstu. Borkowski pozwalał robić ze sobą wszystko. Był jak zahipnotyzowany. Scena we wnętrzu jaskini była ponad jego siły. Z przerażeniem wpatrywał się w napis na ścianie. To, co dało się tam wyczytać, było dla niego nieodwołalnym wyrokiem. Zaczął drżeć,

... to Stefan... zostawił...

— No i co, panie Borkowski? — powiedział z naciskiem Bareja. — Umarli rzeczywiście potrafią mówić i oskarżać. Czy i teraz będzie pan twierdził, że to nic nie znaczące poszlaki?

Odporność psychiczna Borkowskiego pękła nagle jak bańka mydlana. Zasłonił twarz rękoma i zaczął krzyczeć jakimś wysokim, nieswoim głodem;

— Tak. to ja. ja. ja!!! Wyprowadźcie mnie stąd! Chcę wyjść!!

Sawicki skinął głową. Nie mieli tu nic więcej do roboty. W tej samej kolejności, co poprzednio, wyszli z jaskini i zbiegłszy po stoku zajęli miejsca w samochodzie. Tylko Borkowski ręce miał skute kajdankami, które zaraz po wyjściu z jaskini założył mu Walczak.

Mefisto był teraz całkowicie apatyczny i zrezygnowany. Uznając swoją przegraną stracił całą dotychczasową wolę walki.

Ruszyli. W pewnej chwili Walczak przysiadł się do Sawickiego i nachylając się ku niemu powiedział szeptem:

— Ale z dobraniem kolorów miał pan trochę trudności.

Sawicki spojrzał na niego uważnie, ale nic na to nie odpowiedział.

— Trzeba było wziąć sobie do pomocy jakąś kobietę — nie dawał za wygraną Walczak, zagadkowo się uśmiechając. — One się znają na szminkach.

— Co wy tam spiskujecie? — zainteresował się Bareja.

— Nic szczególnego — odpowiedział Sawicki. — Namawiam porucznika na wspinaczkę w najbliższą niedzielę.

— No i co? Zgodził się?

— Ani mi to w głowie — powiedział Walczak z komiczną powagą. — Jestem sobie zwykły glina i mogę myszkować po ciemnych zakamarkach jaskiń, bo to mój żywioł. Ale urwiska, pełno powietrza pod nogami? Nie. to nie dla mnie...

XXXI

Kiedy znowu znaleźli się w gabinecie Barci, już bez Borkowskiego, wszystkie oczy zwróciły się na Sawickiego. Ten, jakby nie zdając sobie z tego sprawy, kręcił przez chwilę w palcach papierosa, wsadził go wreszcie w usta, zapalił i popatrzył na zebranych w pokoju, pytając niewinnie:

— Co mi się tak przyglądacie? Bareja wybuchnął głośnym śmiechem.

— A to dobre! — zawołał. — Najpierw zaskakuje nas pan swoim odkryciem, a potem udaje, że nie wie, o co chodzi. Swoją drogą ma pan niezwykle silne nerwy, że tak długo potrafił pan trzymać tego swojego asa w zanadrzu. No i moment też wybrał pan po mistrzowsku!

Sawicki zrobił skromną minę.

— Od początku przecież, planując ten pojedynek z Borkowskim, zakładaliśmy, że musimy go zaskoczyć, kiedy będzie już niemal pewny wygranej— Stosując się do tego czekałem, aż użyte zostaną wszystkie argumenty, a Borkowski nieco się odpręży uważając, że wyczerpaliśmy już cały arsenał. To wszystko.

— Tak. to była klasyczna pokerowa zagrywka — mruknął Bareja.

— Swego czasu nieźle grałem w pokera — przyznał z uśmiechem Sawicki—

— Nie chciałbym mieć pana za przeciwnika — powiedział Walczak.

— Borkowski też nie był łatwym antagonistą — zauważył Sawicki. — To naprawdę spryciarz, i to dużej klasy, a i ryzykant przy tym nieprzeciętny. Tylko przypadek właściwie pozwolił nam rozszyfrować tę zbrodnię.

— Przypadek przypadkiem, lecz gdyby nie odczytanie przez pana tego napisu w jaskini, mielibyśmy w najlepszym razie tasiemcowy proces poszlakowy, i to z niepewnym finałem — wszedł mu w słowo Bareja. — Ale że pan to odczytał, to prawie cud! Zakład Kryminalistyki nic przecież nie zdziałał!

Sawicki wzruszył ramionami.

— To, że Zakład Kryminalistyki nie mógł dać sobie rady z napisem, wcale mnie nie dziwi. Napis sam w sobie był mało czytelny, a klisza fotograficzna przecież niczego nie uwypukliła, a jeszcze bardziej zatarła. Ze względu na lokalizację napisu nie sposób było przy jego fotografowaniu zastosować wszystkich najnowszych zdobyczy techniki. Ja byłem w lepszej sytuacji. Z lupą w ręku mogłem śledzić literkę po literce, każde zadrapanie na ścianie. Zresztą, jak sam pan widział, niektóre słowa były zupełnie czytelne.

— Tak — powiedział w zamyśleniu Bareja, — Jak było. tak było. ale fakt. że bez pana nie dalibyśmy rady przygwoździć Borkowskiego.

— Przesadza pan, prokuratorze — powiedział Sawicki. — Dłużej byście się z nim bawili, ale w końcu doszlibyście do finału.

— Wcale nie przesadzam — zaperzył się Bareja. — Gdyby nie pan, czekałaby nas uciążliwa sprawa poszlakowa, z której nie wiadomo, co by wyszło. Przy dobrym obrońcy Borkowski mógł się z tego wywinąć.

— Dobrze. Niech i tak będzie — skwitował z uśmiechem Sawicki.

XXXII

Było już dobrze pod wieczór, kiedy Kaczor, wymięty, z twarzą pokrytą trzydniowym zarostem, znalazł się na chodniku ulicy Kościuszki, przed wejściem do komendy milicji. Stanąwszy na chodniku obejrzał się na drzwi komendy, jakby oczekiwał, że oto 2a chwilę wyskoczy zza tych drzwi funkcjonariusz, i zawróci go z powrotem.

Nikt jednak nie wychodził i po chwili Kaczor otrząsnął się z tego wrażenia. Wzruszył ramionami, jakby zrzucał z siebie koszmar ostatnich dni i ruszył powolnym krokiem w stronę Krupówek. Szedł powoli, mając jeszcze ciągle przed oczyma to tak decydujące dla jego losów dramatyczne przesłuchanie Borkowskiego. Przeżywał wciąż od nowa pojedynek prokuratora z przestępcą.

Przeszedł na drugą stronę i zaraz koło poczty natknął się na Lubienia, który właśnie szedł w stronę „Dworca Tatrzańskiego”. Na widok wlokącego się w poprzek ulicy Kaczora przystanął, popatrzył na zbliżającego się uważnie, po czym splunąwszy powiedział:

— Ech! Jaśku. Jaśku! Trza ci tego beło? No, niech tam — machnął ręką. — Dobrze, co cie juz puścili, chłopce. Matka doma od zgryzoty ocy wypłakuje, a i jesce ktoś... Našli już tego, co to zrobiel?

— Znaleźli, ujku — Kaczor skinął głową potakująco. — To jej mąż ją tam zaprowadził i zostawił. Przeszkadzała mu, a i na mnie chciał się odegrać. Chciał mnie w to wrobić.

Lubień pokręcił ze zdziwieniem głową.

— To ty ześ znał go dawni? — zapytał.

— Zetknąłem się z nim. ale nie poznałem teraz — powiedział Kaczor ze smutnym uśmiechem. — On był kiedyś grotolazem, wiecie?

Nazywali go wtedy Mefisto. Pamiętacie może. ujku. ten wypadek w Śnieżnej? Wtedy, co to się im bety zapaliły i jeden w dymie zginał?

— Eee, co bym nie miał pamiętać — powiedział kiwając głową stary Lubień — Znacy się to ten. co-ześ przeciw niemu świadczył?

— Tak, ten sam — potwierdził Kaczor. — Pamiętał mi tamto i przy okazji chciał się zemścić.

— Widzis, chłopce, jak to je z ceprami — odezwał się po chwili milczenia Lubień mentorskim tonem. — Mówilek ci: nie zadawaj się z takimi, a to osukajom i jesce wyśmiejom. Swoich trza się pilnować. No. zeby swojom zone tak na powolnom śmierć osławić, trza być... ech., kruca fuks! Tfu! — Splunął z głęboką pogardą.

— On się chciał rozwieść, a ona była w ciąży i się nie zgadzała. Dlatego ją tak — wyjaśniał Kaczor.

— Zgnilizna i tylo — zakonkludował Lubień. — Myślem. co ci tyn arest rozumu do głowy nagoniel. co bedzies teroz inacy na wszycko pacseć. Bac dobrze. Jaśku, na to, co ci na Ornaku gadali my oba, ja i Fabian.

— Pamiętam, ujku. dobrze pamiętam. Mielście rację. Myślałem i ja o tym wszystkim w areszcie. Miałem na to dużo czasu. Chyba zrobię, jako radziliście.

— Dobry dzień, ujku! Ooo! Jasiek! To puścili cię? — odezwał się nagle obok nich dźwięczny, dziewczęcy głos.

Obejrzeni się zaskoczeni. Tuż obok nich siała młoda, zgrabna dziewczyna o owalnej, rumianej twarzy, zdobnej w nieco zadany, ale kształtny nosek, parę błękitnych oczu i potężny warkocz, jasnych jak łan dojrzalej pszenicy włosów.

— Kasia! — ucieszył się Kaczor. — No widzisz? Nie chcieli mnie dłużej trzymać na państwowym wikcie — zażartował.

Dziewczyna zmierzyła mówiącego uważnym, taksującym spojrzeniem.

— Luksusów to ty tam chyba nie miałeś — zakonkludowała. — Wymizerowany jesteś i nie ogolony. Wyglądasz jak po ciężkiej chorobie.

— Jak pójde do domu, to się doprowadzę do ludzi — uśmiechnął się blado Kaczor, po czym dodał: — Nie przypuszczałem, że cię spotkam tak od razu po wyjściu.

— Do domu w takim stanie nie pójdziesz! — powiedziała energicznym tonem dziewczyna. — Matka by się zapłakała, jakby ciebie takim zmarnowanym zobaczyła. Już i tak od chwili, jak cię zamknęli, od zmy-

słów odchodzi, pójdziesz teraz do nas. ogarniesz się trochę, no i potem już możesz iść do domu. Ojciec znajdzie jakąś żyletkę na ten twój zarost.

— Nie chciałbym wam robić kłopotów... — zawahał się Kaczor.

— To żaden kłopot — ucięła krótko dziewczyna. — Tata ucieszy się, jak ciebie zobaczy. Też gryzł się bardzo twoim losem.

— Słuchaj dziewczyny — wtrącił się Lubień, — Dobrze ci gado. Do dom faktycznie taki zmarnowany iść nie mozes.

Zaatakowany tak z obu stron. Kaczor nic bronił się więcej.

— Może i macie rację — powiedział. — No, to chodźmy do was w takim razie. Kasiu.

Dziewczyna zwróciła się teraz do Lubienia.

— A może i wy, ujku. pójdziecie ku nam? — zapyłała.

Stary pokręcił przecząco głową.

— Nie, nie pudem — oświadczył zdecydowanie, — Staremu z młodymi niesporo. Bier go dziwce, a trzym krzepko, poka nie wypocnie, abo późni nie uradzis — powiedział żartobliwym tonem. — Ja jesce na chwileckc wpadnem do pogotowia, a wiecorkiem wpadnem tam ku wom. No, chybajcie wartko, a to sie jesce Jasiiek ozmyśli.

Skinąwszy sobie głowami na pożegnanie ruszyli każde w swoją stronę. Stary Lubień podreptywał drobnymi kroczkami ku siedzibie pogotowia w dół Krupówek, zaś dziewczyna, jakby biorąc na serio żartobliwą przestrożę Lubienia, ujęła mocno pod ramię Kaczora i ruszyli oboje w stronę przeciwną, w górę ulicy. Aż prawie do samego Ronda, przez całą długość Krupówek i Jagiellońskiej szli nie mówiąc do siebie ani słowa. Dopiero gdy skręcili przy Rondzie w ulicę Bronka Czecha, przy której to ulicy znajdował się domek Włodkowych. Kaczor przerwał trwające milczenie.

— Lubisz ty mnie chociaż trochę. Kasiu? — zapytał znienacka.

— Nie zadawaj głupich pytań — ofuknęła go. — Przecież wiesz.

Kaczor uśmiechnął się przebiegle.

— Wiedzieć to może i wiem — powiedział. — Co innego jednak wiedzieć, a co innego usłyszeć od ciebie.

Dziewczyna milczała przez czas dłuższy, wreszcie nie patrząc na swego rozmówcę powiedziała cicho:

— Pewno, że cię lubię, i to od dawna. Tylko że ty się ciągle za jakimiś wczasowiczkami uganiałeś ani na mnie nie zważając — dodała z nutką żalu w głosie.

— Było. przeszło — powiedział Kaczor zdecydowanym tonem, nakrywając jej dłoń swoją. — Teraz, zobaczysz, będzie zupełnie inaczej. Powiedz, Kasiu, zechciałabyś zostać moją żoną?

Dziewczyna drgnęła zaskoczona, a potem lekko przywarła do Kaczora i tak szli znowu milcząc kawałek drogi, zanim Kasia wreszcie powiedziała z lekką przekorą:

— Jak mnie pięknie poprosis, to uwidzimy, może i sie zgodzeni — oświadczyła czystą gwarą góralską i dodała z uśmiechem: — Taty pytaj, tylko nie wiem. czy takiemu wietrznikowi będzie chciał córkę oddać.

— Zaraz dzisiaj zapytam — zawołał odzyskując powoli swój zwykły humor Kaczor. — I myślę, że się zgodzi.

— Nie bądź taki pewny — — przekomarzała się dziewczyna, — Lepiej nie pytaj go, zanim nie ogolisz się i nie ogarniesz, bo może cie odpalić.

Zbliżali się już do furtki, wiodącej do posiadłości Włodkowych. Kaczor odsunął się nieco na stronę, chcąc przepuścić przed sobą Kasię. Ta jednak nie pozwoliła na to i popychając go lekko w stronę furtki, powiedziała żartobliwie:

— Lepiej ty wchodź pierwszy, bo jeszcze w ostatniej chwili stchórzysz, uciekniesz i nici będą z oświadczyn.

— Ani mi to w głowie, dziewczyno! — zawołał Kaczor. — Już ty się teraz ode mnie tak łatwo nie odczepisz.

— To i dobrze — powiedziała wpychając go zdecydowanie do środka i dodała wesoło: — Ja jednak wolę być przezorna. Co trzymam w garści, to wiem. że moje.

Kaczor pokiwał głową krzywiąc twarz w wyrazie udanego przerażenia.

— No, proszę! — zawołał. — Ładnych rzeczy się dowiaduję. To już mnie na uwięzi chcesz trzymać?

— A co myślałeś? — roześmiała się Kasia. — Mam spokojnie czekać, aż jakaś wczasowiczka znowu ci w głowie zawróci? Teraz to jeszcze nic, ale poczekaj, zobaczysz po ślubie — dodała z żartobliwą pogroźką w głosie.

— No, to wpadłem! — zawołał z udanym przerażeniem Kaczor. — Teraz, rozumiem, dlaczego na siłę wepchnęłaś mnie do środka i dopiero wtedy to powiedziałaś.

— A co, uciekłybyś? — zapytała przekornie.

— O, co to, to nie — — roześmiał się Kaczor. — Na to, dziewczyno, nie licz.

— To i dobrze — powiedziała już teraz poważnym tonem i wyminawszy go ruszyła przed nim w stronę ganku.

